

W NUMERZE:

Listy do
redakcji

Przyjaciółki

REFLEKTOREM
PO SZACHOWNICACH
ŚWIATA Krzysztof Pytel

ROK ZAŁOŻENIA 1933

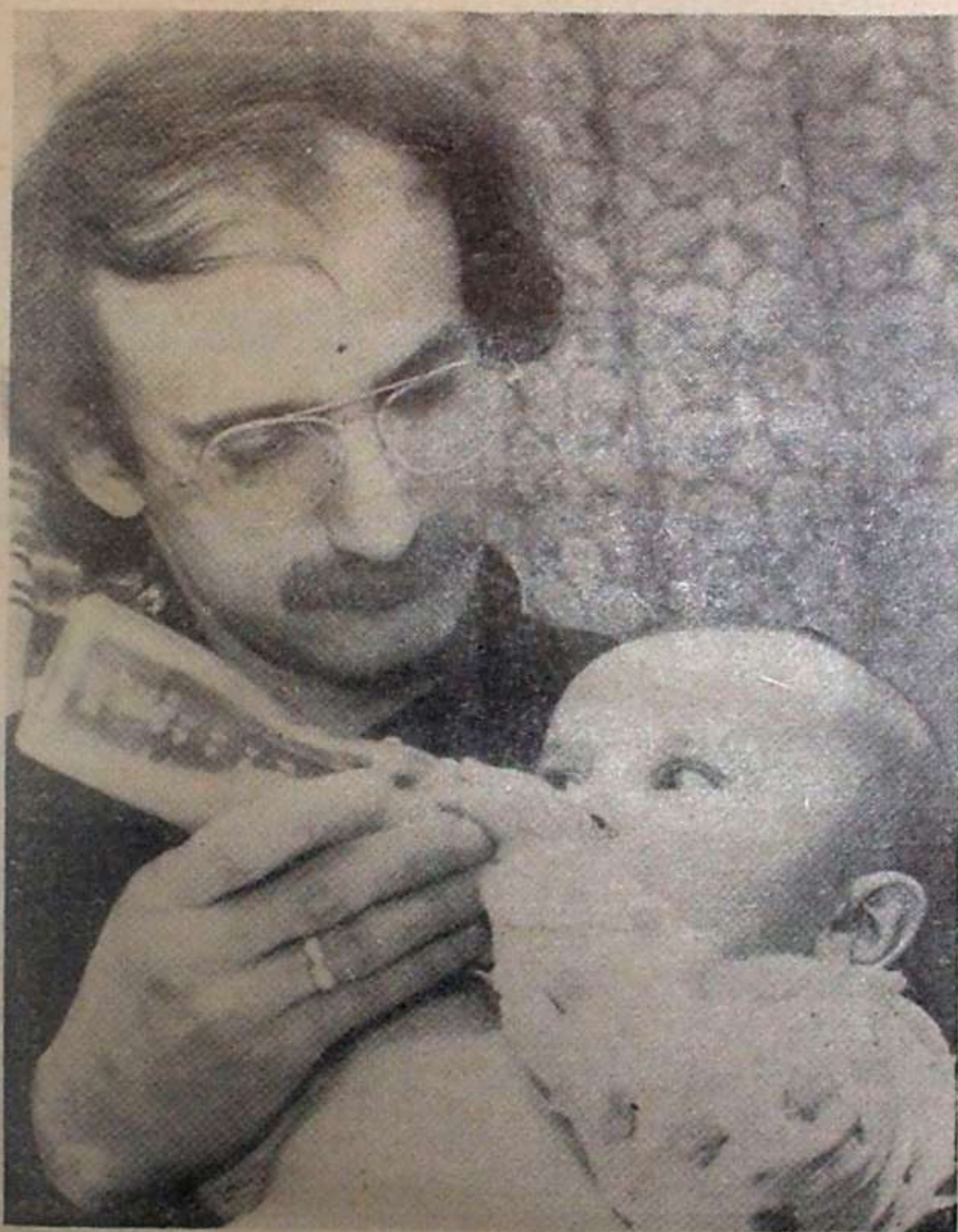
KAMENIA

LUBLIN 9 III 1975 Nr 5 (569)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Może choć w dniu Święta Kobiet ojciec nakarmi małeństwo?



Zdjęcie Marka Kalinowskiego z tytułowej strony „Przyjaciółki”

Autobusy

w poślizgu

Tadeusz Jasiński

Między Lublinem a Swidnikiem wciąż krążą autobusy Państwowej Komunikacji Samochodowej, a wśród nich niestrudzony przegubowiec. W każdym z pomieszczeń ma prawo być po 60 osób. Nie 120 jednak, ale co najmniej 200 pasażerów musi uwieźć do fabryk w obu tych miejscowościach.

AZ 14 razy wymieniają się pasażerowie w czasie każdej mojej zmiany — mówi mi potem kierowca Benedykt Paprota, mężczyzna może pięćdziesięcioletni. — Każdorazowo po 200 osób! Ja jestem człowiek i oni są ludzie. Ja bywam zmęczony i oni także. Oni mają nerwy i mogą je wyładować między sobą, ale także na mnie. Mnie nerwowości ujawnić nie wolno. Odpowiadam za ich życie i za swoje, no, po prostu, nie wolno, bo tego też żądają od nas przełożeni. A przecież my też mamy swoją ambicję i poczucie wartości. Tymczasem zdarza się, że

człowiek usłyszy: „Co tu będziesz mi, pastuchu, uwagę zwracał!”. Rzadko który z pasażerów ujmie się za kierowcą lub konduktorką. Panuje wśród nich niezwykła solidarność. Pamiętam pewne zdarzenie. Pijany osobnik wsiadł w Swidniku, ubliżał kobietom, wyrażał się przy nich i przy dzieciach plugawie. Kiedy dojechaliśmy do stacji PKS i chciałem go oddać w ręce milicji, te same kobiety zamieszły między sobą tak, żeby tamten mógł się wymknąć i uciec. A wydawało mi się, że występowałem właśnie w obronie

Dokończenie na str. 4—5

ŚWIAT SIĘ ROZPEKŁ

Maciej Podgórski

DO niedawna świat był zrozumiały. Spokojny był i swojski jak ciepły piernak. Po obu stronach szosy. Co to zresztą za szosa? Dukt boczny, wąski i dziurawy. Jeden sakmochód na dzień. Ale tej zimy świat rozpekał się i zbiesił. A i zima jakaś do ludzi niepodobna zupełnie. W ich drewnianej chałupie obcy z dalekich stron wynajęli dwie izby, w jednej mieszkają, a drugiej śpią tylko, w drugiej warsztat jakiejś spozobła czy też biuro. W sadziku, co przy samej szosie, zakładają słupy. Gruszkę chcieli wyciąć, żeby nie przeszkadzała. W chałupie dziurę wiercą, bo te-

lefon ma być zainstalowany. Stosy waciaków znoszą, rękawic, papę chcą upchać, żeby kto nie doprowadził. Po kredensie swoje produkty żywnościowe chowają. Dużo ludzi teraz tutaj się kręci, pokrzykują i rządzą. Wielkie ciężarówki podjeżdżają pod samo podwórko.

— Nie musieliście wynajmować tych izb — mówię.

— Nie musieliśmy, fakt. Ale my już, panie kierowniku, nie liczymy, żeby syn czy córka na gospodarkę wrócili z miasta. Jedno i drugie wykształciło się, wyjechało i pożeniło, swoje dzieci mają. To

co mieliśmy robić? Za te dwie izby i kawałek placu, cośmy wynajęli, placą nam dwa tysiące miesięcznie...

— Ile gruntu waszego poszło pod kopalnię?
— Poza tym kawałkiem placu tutaj, będzie czterdzieści arów, po drugiej stronie szosy. Ale pieniędzy jeszcze nie dali, a i podatek placimy od całości gruntu, razem z tymi czterdziestoma arami, bo gmina nie odpisała.

Dokończenie na str. 4—5

W TYCH dniach społeczeństwo Lubelszczyzny, podobnie jak wszystkich innych województw, dokona wnikliwego spojrzenia w dzień wczorajszy i jutrzejszy. Tym naszym ogólnospołecznym forum będzie XV Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Nie chodzi tu, oczywiście, tylko o sprawy wewnątrzpartyjne, jakkolwiek i one będą stanowiły integralną część obrad. Partia jest kierowniczą siłą naszego narodu i państwa i z tej racji ponosi szczególną odpowiedzialność za to wszystko, co się u nas dzieło wczoraj, dzieje dzisiaj i dzieć będzie jutro. I dlatego XV Konferencja skupia na sobie szczególną uwagę.

Bieżące informacje prasowe przynoszą codziennie pomysły meldunki z realizacji zadań, jakie postawiliśmy sobie przed dwoma laty na XIV Konferencji, a jeszcze wcześniej zadań dla całego kraju, w tym także dla Lubelszczyzny — na VI Zjeździe Partii.

Nie było łatwo. Był nawet tacy, którzy przed czterema laty sądzili, iż w wielu dziedzinach stawiamy sobie zbyt ambitne zadania, zadania na miarę marzeń a nie możliwości.

Tymczasem okazało się, że osiągnęliśmy więcej, niż początkowo planowaliśmy. Już dzisiaj możemy z całą pewnością powiedzieć, że po raz pierwszy w trzydziestoletniej historii naszej socjalistycznej ojczyzny plan pięcioletni nie tylko zostanie we wszystkich podstawowych dziedzinach wykonany, ale w wielu pokazuje przekroczenia. Plany dyrektywne były systematycznie wyższe od ustaleń planu pięcioletniego — a mimo to wykonaliśmy je z pokąźną nadwyżką. Duży wysiłek inwestycyjny w całej gospodarce, zarówno produkcyjnej jak i dziedzinach nieprodukcyjnych, został znacznie zwiększony i uwieńczony sukcesem.

Stało się tak dlatego — sądzić należy — z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze dlatego, że po raz pierwszy przed czterema laty opracowaliśmy nie tradycyjny Narodowy Plan Gospodarczy, ale Narodowy Plan Społeczno-Gospodarczy. To nie tylko różnica w nomenklaturze, ale w samej istocie planu. Obejmował on bowiem nie tylko szeroki wachlarz wskaźników produkcyjnych, lecz również te dziedziny naszego życia, które w poprzednich okresach były tylko wypadkową tych

lania na najbliższy okres. Program nie tylko dla członków Partii, którzy otrzymują szczególne zadania, ale także dla nas wszystkich.

A więc przede wszystkim rolnictwo, które spełnia podstawową funkcję gospodarczą w naszym województwie, funkcję o znaczeniu ogólnokrajowym. Mamy w tej dziedzinie bardzo duże rezerwy, zwłaszcza jeżeli chodzi o agrotechnikę, stosowanie nasion intensywnych zbóż jak i hodowlę bydła oraz trzody chlewnej, mechanizację, prawi-

alizacja decyzji Partii i rządu w sprawie Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Decyzji już podjętych i tych, które przyjdą tym wcześniej, im wcześniej i lepiej wykonamy te, które już są. W tej dziedzinie to, co jeszcze niedawno było perspektywą, staje się codzienną rzeczywistością, szczególnie ważną dla całego kraju.

Przewiduje się, że w roku bieżącym dochody mieszkańców Lubelszczyzny zwiększą się o około 11 proc. Zwiększą się również wymagania w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, handlu, usług, oświaty i kultury. Tym wymaganiom trzeba sprostać nie tylko poprzez inwestycje, produkcję i zwiększenie różnych innych środków materialnych, ale także poprzez lepszą organizację pracy, jej efektywność, korelację działania, rzeczywistość i na co dzień dbałość o przyszłego lokatora, klienta, usługobiorcę, studenta, ucznia, słuchacza, widza i czytelnika. Ta cała infrastruktura społeczna musi ulec dalszemu rozszerzeniu, pogłębieniu i odczuwalnemu polepszeniu.

Chcemy widzieć Lubelszczyznę jako region o wysokim, przodującym w kraju rolnictwie i związanym z nim przemysłem rolno-spożywczym. Równocześnie także jako region wysoce przemysłowy z nową gałęzią produkcji — górnictwem węglowym. A jednocześnie region w obu dziedzinach o nowoczesnej, dynamicznej infrastrukturze nie tylko ekonomicznej, ale i społecznej na miarę naszych wciąż wzrastających potrzeb.

Z tym dorobkiem całego społeczeństwa członkowie Partii pod koniec roku przyjdą na VII Zjazd. Wyjdą zaś z niego z nowymi, jeszcze ambitniejszymi zadaniami, które będą realizować razem z całym społeczeństwem. Bo Partia jest i przodującą i kierowniczą siłą narodu, który identyfikuje się w pełni z jej działaniem.

NASZA KONFERENCJA

wskaźników. Tym razem stanowiły one integralną część planu, a obejmowały także powszechne podwyżki płac i emerytur, rzeczywiste upowszechnienie bezpłatnej służby zdrowia, prawne i faktyczne zrównanie pracowników wykonujących pracę fizyczną i umysłową, szeroką opiekę nad matką i dzieckiem, szybki rozwój oświaty i kultury itd.

Po drugie — postawiliśmy na mądrość, samodzielne myślenie i głębokie zaangażowanie wszystkich ludzi pracy. Tylko dzięki temu udało się nam już przeprowadzić wiele zmian zarówno strukturalnych jak i ekonomicznych, gwarantujących dalszy pomyslny rozwój.

XV Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR w Lublinie opracuje, po wielu przeprowadzonych wcześniej przez odpowiednie zespoły partyjne konsultacjach, program dzia-

łową pracę służby rolnej jak i tych wszystkich organizacji, które działają na rzecz rolnictwa. Coraz poważniejszym problemem staje się przejmowanie i zagospodarowanie gruntów, przechodzących na rzecz Państwowego Funduszu Ziemi. W konsekwencji tego wszystkiego — doskonalenie przemysłu rolno-spożywczego.

W przemyśle jako naczelne zadanie staje podwojenie wartości produkcji w okresie jednego planu pięcioletniego, przy jednoczesnym podnoszeniu jakości wyrobów i efektywności gospodarowania. Dalej — szybsze dochodzenie do planowanych zdolności produkcyjnych nowych zakładów, pełniejsze wykorzystanie czasu pracy maszyn i ludzi, dalsze doskonalenie techniki i technologii, pokrycie wzrostu produkcji przynajmniej w 80 proc. wydajnością pracy.

Specjalnym zadaniem jest pełna re-

wizję, inna potrafi być sztywna jak bykowiec. A z takimi trudniej...

Ale prezes Jarosław Iwaszkiewicz, mówiąc o tym wyłączeniu ze skóry, miał chyba na myśli przebieg całej dwudniowej debaty. Jakoż powiedzieć trzeba, iż wiele tam miejsca i czasu przyznano sprawom bytowym, ogólnie zaś określając — zagadnieniom towarzyszącym procesowi powstawania literatury, mniej zaś jej samej. Mówiono o stypendiach, o urlopach, emeryturach, o Kasie Pożyczkowej; o wielu istotnych osiągnięciach 3-letniej kadencji Zarządu Głównego, podczas której w zakresie bytowych spraw pisarzy uzyskano więcej niż bodaj we wszystkich poprzednich kadencjach. Weźmy choćby ustawę o emeryturach dla twórców: jest to przecież ewenement w ustawodawstwie światowym. Dorzućmy do tego inne jeszcze rezultaty zabiegów Zarządu Głównego ZLP i jego komisji: dwa tygodnie dodatkowego urlopu z tytułu przynależności do ZLP, 3,5 mln zł z Ministerstwa Kultury, które utworzyły Kasę Pożyczkową, a której fundusz stoi otworem dla każdego twórcy, jeśli tylko zgłosi potrzebę pomocy. Wiele też innych osiągnięć złożyło się na porządkowanie sytuacji materialnej, prawnej i organizacyjnej polskiego pisarza i jego związku.

Ze świadomością tych osiągnięć, za którymi kryły się i wieloletnie zaniedbania, jak też dobra wola władz centralnych w widzeniu potrzeb polskiego pisarstwa — przyszliśmy na zjazd poznański w gronie 120 delegatów reprezentujących stosunkowo niewielką, bo liczącą około 1300 osób społeczność ludzi pióra. Przytłaczające było jednak wrażenie, kiedy stojąc, słuchaliśmy głosu Gerarda Górnickiego, prezesa oddziału poznańskiego, czytającego listę pisarzy zmarłych w ostatniej kadencji. Zdołałem naliczyć 54 nazwiska, w tym wiele znanych każdemu uczniowi polskiej szkoły. W tym osobli-

wym apelu poległych wyłowilem cztery nazwiska ze środowiska lubelskiego: K. A. Jaworski, W. Gralewski, Z. Stepek, Z. Jastrzębski. Przed tą czwórka zmarł jeszcze Konrad Bielski, rozpoczynając tę żalobną serię. Aż 54 osoby na 1300 pisarzy w ciągu trzech lat, to za dużo. Zniwo obfite, jak chyba w żadnym innym zawodzie! Czy jest to jedynie cena samej wspinaczki na Parnas? A może jakaś generalna zmiana pokolenia, zmiana warty?

Patrzyłem po twarzach uczestników Zjazdu: żywa powtórka z polskiego! Iwaszkiewicz, Kamińska, Jastrun, Bratny, Zukrowski, Koźniowski, Dobraczyński, Putrament, Matuszewski... Z młodszych: Szymborska, Szypowska, Kuśniewicz, Nowak, Grześczak, Nowakowski, Kabatek, Myśliwski... Pomiędzy nimi, znacznie rzadziej, zupełna młodość; wszyscyśmy wszakże zgodnie wybrali delegację Zjazdu, która udała się z kwiatami do mieszkania ojcimniałej, absolutnej nestorki polskiej poezji — Kazimierzy Iłakowiczówny — tej, której młodopolskie wiersze wzruszały do łez nasze babki i matki...

Jak każdy Zjazd, zamykający jakiś tam okres od — do, poznańskie forum pisarzy miało ambicję dokonania oceny trzyletniej drogi polskiego pisarstwa, a na tym tle wycelowania wzroku w następną trzylatkę, w dalszą jeszcze perspektywę. Czy tego dokonało? Nie wiem. Oceniają to inni.

Zal mi tylko, że tak mało mówiliśmy o samej literaturze. O trudnych, bolących sprawach współczesnego życia, któremu nie zawsze towarzyszy trafna i obiektywna pisarska penetracja; a jeśli już się zdarzy, to w kolorach skrajnych: czarnym lub białym. Tak jak byśmy nie wiedzieli, nie powinni lub nie chcieli wiedzieć, że pomiędzy bielą i czernią pulsują, niepostrzeżenie łącząc się i zacierając za siebie, wszystkie kolory tęczy. Jak byśmy nie wiedzieli, idąc i skacząc po górach, że mimo wszystko, chodzimy po ziemi.

Część tego posłania, w stosunku 1:1300, piszący te słowa przytomnie dedykuje i sobie...

„Dobrze pisać to pisać po swojemu”

Henryk Pająk

„Dobrze pisać, to pisać po swojemu” — powiedział Jarosław Iwaszkiewicz otwierając XIX Zjazd Związku Literatów Polskich w Poznaniu. Sens tych słów w krzepiący, ale i przekorny sposób patronował dwudniowej debacie pisarskiego parlamentu. A znów na jej zakończenie sędziwy pisarz, ponownie i niemal jednogłośnie wybrany prezesem, stojąc z naręczem czerwonych goździków przed trybuną Zjazdu, zawołał z mocą: „Choć byście wylazili ze skóry, to i tak w pisaniu nikt was nie wyręczy!”

Słuchając tych słów, przyznałem prezesowi pełną rację, lecz zaraz potem, w tym samym duchu przekory, dodałem od siebie: z tym, że skóra skórze nierówna — jedną zdejmując się lekko jak ręką-

GARMONDEM

NA konserwację zabytków wydatkowaliśmy w 30-leciu miliardy złotych. Nakłady te różnie jednak owocowały. Pojawily się więc opinie — sądzimy, że trafne — które istotę niepowodzeń wiązały z przestarzałym w dzisiejszych warunkach systemem ochrony zabytków. W tych dyskusjach uczestniczył M. Kurzątkowski,

Wojewódzki Konserwator Zabytków w Lublinie, który sugerował rozwiązanie tyle odważne i głębokie, co realistyczne i oparte na wszechstronnej znajomości przedmiotu. Niedawno „przedstawiono” jego poglądy w 7 numerze „Literatury”. Prezentarka, M. Szejnert, bez żenady zatopila diaгноzy i wnioski konserwatora w autoryzowanej przez siebie ironii, nie ukrywanej kpinie etc. Od formułowania rzeczowych kontrargumentów wyraźnie stroniła. Ale czy można dziwić się takiemu „załatwianiu gości”, jeśli sprawę firmuje ty-

godnik krajowego ziołolecznictwa, preferujący szalę (dziennikarski)?!

Kam

POMYŚLANO zawczasu o potrzebach kadrowych Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Nie idzie tu jedynie o „import” pracowników ze Śląska, lecz również o kształcenie młodzieży z Lubelszczyzny w śląskich szkołach i uczelniach. W rezultacie akcji propagandowo-rekrutacyjnej lubelskiego Kuratorium oraz Ministerstwa Górnictwa i Energetyki w AGH

studiuje aktualnie blisko setka osób z Lubelszczyzny; w 2-letnim policealnym studium górniczym w Chorzowie kształcą się 40 lubelskich maturzystów; w zasadniczych szkołach górniczych (3-letnich) uczy się ponad 300 osób z naszego regionu, zdobywając następujące specjalności: górnik technologicznej eksploatacji złóż, mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego, elektromonter górnictwa podziemnego. Rekrutacja będzie trwać nadal. Z myślenia perspektywicznego — piątka!

Pod

W ZAKŁADACH pracy — rzecz to dzisiaj oczywista — ludzie nie „robią” statystyki zatrudnionych w kraju, lecz pracują. Od pewnego czasu nie słyszy się porzekadeł w rodzaju „Czy się stoi czy się leży...”. Po 1970 roku hasło pracy rzetelnej zeszło z transparentów na ziemię. Okazało się przy tym, że robota jest opłacalna. W sensie materialnym i moralnym. Równoległe został stworzony system kształcenia tych, którzy pracują i mają ambicje przemeblowania własnego statusu społecznego i zawodowego, chcą lepiej zarabiać, cieszyć się większym szacunkiem otoczenia. Późnym wieczorem w tysiącach polskich domów rozpoczyna się druga (trzecia?) zmiana, której warsztatem jest podręcznik szkolny czy akademicki. Rano śpieszą ci uczniowie do fabryk, wypełniają biura, po południu biegną na konsultacje, wieczorem zaspiają nad lekturą. Ciężka robota. Na jej edukacyjnym etapie bez książki obejść się nie można.

Teoretycznie najbliższym miejscem otrzymania odpowiedniej publikacji może być biblioteka związkowa. Takich bibliotek mamy na Lubelszczyźnie 92, z czego 35 działa w zakładach małych, zatrudniających do 500 pracowników. W fabrykach dużych, których załogi przekraczają 5000 osób, istnieją cztery biblioteki. Załogi ponaddziesięciotysięczne mają do swej dyspozycji zaledwie dwa księgozbiory. Spośród 92 zakładów tylko 62 posiadają biblioteki fachowe. Tymczasem ponad 6000 pracowników owych przedsię-

prawdzie — to chyba z niezrozumienia ich ważnej roli, mimo że aż pięć gnieździ się w siedzibach rad zakładowych, czyli, rzucą się w oczy komu trzeba. W potencjalnie „widocznym” miejscu spotykamy następne cztery księgozbiory, zalegające w pomieszczeniach administracji. Można przeciw zaryzykować, że są to placówki szczęśliwe, w położeniu dobrym. Przynajmniej porównawczo, jako że kilka innych „działa” w lokalach takich, jak: korytarz budynku, bufet (obficie zaopatrzony), sale zebrań albo prób amatorskich zespołów artystycznych, świetlice. Jedną bibliotekę koryzysta z gościny centrali telefonicznej, co może i dziwne oraz niewygodne dla czytelników, ale nie pozbawione przecież stron jaśniejszych. Otóż bibliotekarka bez kłopotów i do woli korzysta z telefonu, podczas gdy jej koleżanki z innych placówek nie mają faktycznie — poza kilkoma — dostępu do aparatu łączącego ze światem.

Tym sposobem odbywa się wymiana informacji bibliotecznej między różnymi placówkami, czyli — w praktyce — nie odbywa się, bo komu chciałoby się biegać za darmo. 59 bibliotek (63 proc. ogółu) dysponuje co prawda lokalem własnym, samodzielnym, lecz są to z reguły pomieszczenia ciasne, zimne, ciemne, niefunkcjonalne. 46 zajmuje jeden pokój, tylko przy sześciu istnieją czytelnie.

Irytujące, przygnębiające, a nawet jakoś dramatyczne jest to, że nawet zasobne materialnie, przyrodziane w tradycję i znane z ciekawych (choć

900, to placówka ZZPRolnych wzbogaciła się zaledwie o 60 pozycji. Niektóre biblioteki różnych związków nie otrzymały w latach 1972 i 1973 ani jednej książki z zakupu. Chyba warto wspomnieć, że chodzi tu o placówki Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Lublinie, Lubelskich Zakładów Piwowarskich, Klucza Zakładów Przemysłu Rolnego w Międzyrzeczu, PZGS w Białej Podlaskiej, Lukowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego w Białej Podl., Lubelskiego Zakładu Ceramiczno-Budowlanego w Chełmie, Zakładu Mebli nr 2 w Bondyrzu, Komunalnego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych w Lublinie. W 1973 roku nie zakupiono żadnej książki do bibliotek: Zakładów Miynarskich i Wytwórni Makaronu, Zakładu Urządzeń Napędowych w Chełmie, Przedsiębiorstwa Budownictwa Wodnego w Puławach, Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego w Lublinie, Centrali Technicznej oraz Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego w Lublinie.

Rozmieszczenie bibliotek związkowych także wymaga interwencji. Bywa że w małych środowiskach działają równoległe dwie placówki, obok związkowej — publicznej. Tak jest w Strzyżowie w pow. hrubieszowskim, w Rejowcu Fabrycznym, w Bodaczu w pow. zamojskim, w Trawniskach w pow. lubelskim. W samym Lublinie spotykamy podobną, nieracjonalną koncentrację bibliotek, np. na Wrotkowie: obok księgozbioru cukrowni oraz Lubelskiej Fabryki Wąg istnieje filia wojewódz-

Książka

w majonezie?

Ireneusz J. Kamiński

biorstw i instytucji dokształca się, nie mówiąc o tym, że ok. 25 tysięcy dojeżdża do miejsca pracy, co ma przecież jakiś związek z prezentowanym tu problemem bibliotecznym. W sumie zakłady pracy posiadające wiadome placówki zatrudniają ponad 114 tysięcy osób. Nie potrzeba specjalnej biegłości w matematyce i sprawach społecznych, aby dojść do wniosku, że liczba bibliotek związkowych nie odpowiada potrzebom. Smutniejsze refleksje nasuwają się po krótkim spojrzeniu w przeszłość i porównaniu uchwyczonego obrazu z dniem dzisiejszym.

Otóż najpiękniej rozwijały nam się biblioteki związkowe w latach 1951—1965, kiedy to powstało 56 placówek, a więc 60 proc. dzisiejszego stanu. Ładnie szliśmy do przodu, bo przemysł przybywał, a na wschodnio-południowych obrzeżach województwa rosły Państwowe Gospodarstwa Rolne. W następnym pięcioleciu to znakomite tempo organizacyjne wyraźnie osłabło, dorobiliśmy się bowiem tylko 15 bibliotek, co także należy chyba wiązać z rytmem rozwoju gospodarki regionu. Zjawiska, które ujawniły się w ostatnich latach, wypadają przecież uznać za dziwne, zaskakujące, nieracjonalne. Po roku 1970 Lubelszczyzna — podobnie jak reszta kraju — zwiększyła swoje moce o duże zakłady przemysłowe, w ogóle zaczęliśmy lepiej gospodarować, lepiej myśleć, a tu tymczasem wynika z tego aż... jedna(!) biblioteka, uruchomiona w nowym zakładzie, czyli w białopodlaskiej „Biowenie”, gdzie zresztą większość załogi stanowią kobiety, które jakoś serdeczniej garną się aktualnie do wiedzy. Równoległe z malejącym tempem rozwoju sieci bibliotecznej w latach 1960—1973 zniknęło z powierzchni życia kulturalnego 11 placówek zakładowych. Pięć z nich, należących do związku zawodowego pracowników rolnych, zamieniono na punkty biblioteczne, jako, że słabo działały i nie dysponowały tzw. bazą lokalową, choćby dobrą, oraz — czego tylko można się domyślać — odpowiednio mocnym wsparciem moralnym. Dwie biblioteki (przypisane do branży spożywców) połączono, słusznie zresztą, z placówką publiczną. Trudno przecież odpowiedzieć na pytanie, co się stało z pozostałą czwórka.

W jakich warunkach funkcjonują istniejące placówki? 34 nie posiadają samodzielnego lokalu, co znaczy, że egzystują trochę na łaskawym chlebku — trochę z łaski, a po

okazjonalnych) inicjatyw kulturalnych zakłady pracy upychają biblioteki po smrodliwych kątach. Przykładem Lukowskie Zakłady Obuwia, gdzie księgozbiór w zimnie i zagrzybieniu spoczywa. Aż chciałoby się zapytać, czy za pieniądze wydatkowane na imponujący wielkością i nieco pretensjonalny w kształcie neon tej fabryki nie dałoby się uzyskać czegoś lepszego dla biblioteki?! Zresztą Luków nigdy nie słygał z rewelacyjnej troski o sprawy kultury, o inwestycje kulturalne w szczególności — mimo że niedawno otrzymał kolejny duży obiekt przemysłowy: Zakłady Mięsne... W złej sytuacji lokalowej znajdują się biblioteki cukrowni w Lublinie, Opolu, Klemensowie, Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego i WZSP w Lublinie, Białskich Fabryk Mebli, ZUS-u oraz PKS-u i „Łączności” w Lublinie, ZZK Zamość, a także Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Swidniku.

Wyposażenie bibliotek w meble i sprzęt służący do propagowania czytelnictwa książek także pozostawia wiele do życzenia. Unikatami są maszyny do pisania. Biurka, stoły i krzesła są stare i zniszczone. Placówki w małych zakładach nie posiadają nawet skrynek katalogowych. W takich warunkach — ciasnota, bałaganik — dość często giną książki, niektóre więc duże biblioteki (np. FSC) zlikwidowały wolny, indywidualny dostęp do półek.

Księgozbiory wszystkich związków zawodowych na Lubelszczyźnie zawierają ponad 420 000 woluminów. Najwięcej (ok. 90 tys.) posiada Związek Zawodowy Metalowców, następnie ZZ Kolejarzy (ok. 65 tys.) i ZZ Prac. Handlu (ok. 47 tys.). Zdecydowanie przeważa literatura piękna (60 proc.) na drugim miejscu plasuje się literatura popularno-naukowa (20 proc.), na trzecim — książki dla dzieci (ponad 12 proc.). O ile proporcje te budzą pewne wątpliwości, o tyle poważnie niepokoi obserwowany od 1973 roku spadek zakupów nowości wydawniczych. Mało tego, energetycy, handlowcy, kolejarze, transportowcy, łącznościowcy i związkowcy z resortu rolnictwa zmniejszyli środki finansowe na zakup książek aż o połowę.

Dopływ nowych książek do bibliotek to przecież kwestia złożona. Jeśli np. jedna biblioteka chemików otrzymała niemal 2300 woluminów, spółdzielczości pracy — ponad 1000, metalowców —

kiej biblioteki publicznej. Celówę byłoby — twierdzą pracownicy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej oraz Instruktorzy WRZZ w Lublinie, którzy niedawno badali ten problem — połączenie pobliskich i małych placówek w jeden duży i silny organizacyjnie ośrodek biblioteczny, służący całemu środowisku. Brzmiał to rozsądnie, ale... Ale już kilka lat temu opracowano w województwie plan skorygowania sieci bibliotecznej, który w zasadzie pozostał — mimo wysiłków w celu realizacji — na papierze. Tylko w Milejowie i Nielewli przeprowadzono mariaż księgozbiorów placówek związkowej i publicznej, podobno z dobrym skutkiem. Główną przeszkodą tego rodzaju „wiązań” jest brak odpowiednich podstaw prawnych. Z kolei brak zasad organizacji punktów bibliotecznych przez placówki publiczne w zakładach pracy pośrednio odbija się na sprawności owych punktów, albo „kładzie” czytelnictwo w przedsiębiorstwach rolnych. Owszem, i w tej kwestii podpisano szereg umów z radami zakładowymi i dyrekcjami np. PGR-ów, lecz mimo wysiłków ze strony wojewódzkiej i powiatowych bibliotek publicznych, wspomnianych przez wojewódzkie instancje związkowe, ci pierwsi sygnatariusze wymigują się ze sprawy. Wiadomo, co między, to powód i usprawiedliwienie zarazem...

W tej tonacji można by jeszcze długo. Na przykład na temat kwalifikacji bibliotekarzy i związku, jaki zachodzi między charakterem zatrudnienia (pół etatu, ryczałt, etat, praca społeczna), a sprawnością i chęcią do roboty. Powiedzmy krótko, że wykształcenie ogólne bibliotekarzy poprawiło się zdecydowanie w latach ostatnich, niemniej jeszcze 21 proc. nie ma średniego wykształcenia. Jeśli zaś chodzi o spełnianie obowiązków: najlepiej pracują osoby zatrudnione na pełnych etatach, najgorzej — z reguły i chyba konieczności — ci ryczałtowi. Bo jak można znaleźć czas (no i trochę koniecznej w tym zawodzie sympatii) dla książek, jeśli równocześnie pracuje się na pełnym etacie urzędniczym w tej samej instytucji, w której mieści się biblioteka?

Aktywność czytelnicza w bibliotekach związkowych jest niska, a dlatego, sygnalizuje to niniejszy artykuł. Dodajmy, że podejmowane są właśnie próby wyprowadzenia tych placówek na szersze drogi. Sledzimy je z uwagą.

CZYTELNICY MÓWIA

Podobnie jak w poprzednim numerze, zwróciliśmy się do kilku osób z zapytaniem o najważniejsze wydarzenie lub problem, związany aktualnie z ich pracą.

Józef Zięba

Literat

— Po wydaniu w ubiegłym roku obszernego katalogu pt. „Życie literackie Lublina w okresie PKWN”, podjąłem się opracowania redakcyjnego wierszy ludowego poety Jana Pocka. Z Wydawnictwa Lubelskiego otrzymałem w tych dniach egzemplarz sygnałny „Wyboru wierszy Józefa Czechowicza”, którego dokonałem i napisałem do niego przedmowę. W październiku obroniłem pracę doktorską w Instytucie Sztuki PAN na temat: „Amatorski ruch teatralny na wsi w latach 1918—1939”. Książkę tę zaproponowałem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w Warszawie. Natomiast najnowsza moja praca pt. „Lubelskie szkice literackie” złożyłem w Wydawnictwie Lubelskim. Ostatnio zostałem przyjęty do Związku Literatów Polskich.

Kazimierz Malinek

dyrektor Lubelskich Zakładów Graficznych im. PKWN

— Podobnie jak pozostali lubelscy drukarze odczuwam satysfakcję z decyzji, jakie zapadły ostatnio w sprawie rozwoju poligrafii w Lublinie. Na rozwój ten składa się poważna rozbudowa i całkowita modernizacja Lubelskich Zakładów Graficznych. Nakłady na ten cel wyniosą około 130 milionów złotych. Prace są już prowadzone. Niezależnie od tego zmodernizowana zostanie poligrafia przemysłu terenowego. Druga ważna decyzja związana jest z przyszłą, nieodległą już budową wielkiego kombinatu prasowego. Tak rozbudowana poligrafia potrzebować będzie kadr. Szczególnie przebiegają pertraktacje z Kuratorium Okręgu Szkolnego w sprawie powołania w jednym z techników lubelskich specjalnych klas programowo związanych z naszym zawodem.

Po zrealizowaniu powyższych planów przemysł poligraficzny Lublina należeć będzie do jednych z największych ośrodków w kraju. Pozwoli to na pełne zaspokojenie określonych potrzeb rozwijającego się regionu lubelskiego.

Tadeusz Bielawski

wiceprezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Motor”

— Ustaliśmy właśnie listę 622 członków naszej Spółdzielni, którzy w tym roku otrzymają mieszkanie. Przeważnie na Kalinowszczyźnie. Wiadomo, sytuacja mieszkaniowa w Lublinie jest nadal ciężka. U nas oczekuje na klucze 3500 członków, spełniliśmy więc nadzieję zaledwie jednej szóstej spośród tych, którzy należą do „Motoru” już od kilku lat i tych nowo przyjętych. Część spośród nich przejdzie od nas do niedawno powstałej Spółdzielni „Czechów”; podjęte zostały już decyzje o powołaniu dwu następnych spółdzielni mieszkaniowych „Czuby” i „Pełin”. A więc skróć to także okres czekania naszym członkom. Z innych spraw: pragniemy zakończyć zazielenienie Kalinowszczyzny „C” oraz zagospodarowanie budującej się jeszcze Kalinowszczyzny „D”. Liczymy tu bardzo na bezpośrednią, społeczną pomoc członków spółdzielni.

Lucyna Pietrzykowska

dyrektor Medycznego Studium Zawodowego

— Najważniejszą sprawą w naszym studium jest sesja egzaminacyjna; trwa ona jeszcze na wydziale pielęgniarstwa ogólnego. Zarówno tam, jak i na wydziałach higieny, fizykoterapii, analitycznym i elektrodziagnostycznym średnie wyniki nauczania za miniony sezon są wysokie, bo kształtują się od 3,99 do 4,2. Tylko dwie osoby nie otrzymały promocji. To istotne, ale obserwacje z praktyk w szpitalach świadczą także o serdecznym stosunku naszych słuchaczek i słuchaczy do chorych.

Przygotowujemy kadrę dla lecznictwa w całym województwie lubelskim. Dlatego mierzymy do tego, aby „bliacy” już absolwenci mogli udać się na praktyki do placówek, w których w przyszłości będą pracowali. Są z tym jednak pewne trudności i ich rozwiązanie także stanowi obecnie jedno z najważniejszych zadań uczelni.

JAS

ich godności i dla ochrony uszu ich dzieci.

— Komunikacja jest czułym organizmem — mówi czterdziestoletni kierowca „Jelcza”, Józef Siek. — Ten i sażer, który dojeżdża do pracy, albo jeździ „pekaesami” często i długo, najmniej będzie miał do nas pretensji, bo zna na co dzień warunki, w których dla niego pracujemy. Natomiast ten, który jeździ od czasu do czasu, jest bardziej wymagający. Czasem bywa tak: Przejedździłem swoje, spełniłem zadania i myślę za chwilę pojechać do domu po wielu odbytych już i męczących kursach. Tymczasem zachorował jakiś kolega, dyspozytor wyczerpał już rezerwy, lapie mnie i proszę, aby jechać. Podjeżdżam na stanowisko spóźniony, a tam już na mnie i na całą firmę syją się gromy! Nic nie zawiniłem, nikt właściwie nie zawinił, ratuję sytuację, by ludzie dalej nie sterczeli przed stanowiskiem, pomagam tym, co o dczym nie wiedzą, a rozstawię się na całej trasie, na przystankach, stoją w deszczu i na wietrze ale dostają! I muszę to znieść. Trudno.

— Nie można mówić, że pasażerowie są tylko aniołami, a kierowcy wyłącznie diabłami — wchodzi w zdanie dwudziestoletni kierowca eleganckiego „sanosa”, Bohdan Psujek. — Ani też odwrotnie. Jeden jest nerwowy, drugi... lubi muzykę. Ten ostatni prosi, aby włączyć radio, a tamten protestuje, wola, że chce ciszy. Różni są ludzie. Niekiedy ktoś, kto może na co dzień jako dyrektor rządzi w wozie służbowym swoim kierowcą, jadąc na wczas także chciałby w autobusie podrektorować. Czasem z miejsca, po wejściu takiego człowieka do wozu atmosfera robi się jakaś dziwna. Jazda staje się męczarnią. Kiedy indziej nawet kurs z Lublina do Zakopanego mija szybko i bez zmeżenia, bo zdarzyło się jechać ludziami o usposobieniu pogodnym, nie szukającym zwady. Człowiek ma ambicję zawodową, reprezentuj w autobusie całą firmę. W Zakopanem starszy człowiek wysiadając zwrócił się do mnie: „Fajnie dziś pan jechał. Chciałbym znowu trafić na pana, gdy będę wracał z wczasów”. Czułem się lepiej niż wtedy, gdy otrzymywałem nagrody, mógłbym zaraz, gdyby to wynikało z rozkładu jazdy, nie nocować wcale, ale znowu prowadzić autobus na tak długiej trasie.

Po rozmowach z kierowcami, po wprowadzeniu mnie w sprawę przez

zastępcę dyrektora do spraw przewozów pasażerskich, Mieczysława Wójcika, i kierownika działu przewozów pasażerskich Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Państwowej Komunikacji Samochodowej w Lublinie, Jana Łobęki mogłem sobie lepiej wyobrazić zakres zadań komunikacyjnych, poznać trudności, ale i nadzieje rozproszonych po całej Lubelszczyźnie członków wielkiej załogi. Jeszcze dwa lata temu sfatygowane i nowe autobusy kursowały po 1100 liniach, w roku ubiegłym i obecnym do maja włącznie muszą już objąć dodatkowo 280, a po wprowadzeniu w czerwcu nowego rozkładu jeździć już będą w 1665 kierunkach. Długość tych linii osiągnie 70287 kilometrów i przewyższy obecną o 6545 km. Autobusów prawie nie przybywa, a zamiast przejechać dziennie dzisiejsze 320 200 km, będą musiały przebyć 353 500 km. Autobusy PKS województwa lubelskiego mogłyby codziennie prawie dziewięćdziesiąt razy okrążyć kulę ziemską! Pięknie!

W rozmowach stale przewijała się sprawa laboru oraz zaplecza technicznego. Pracownicy PKS błogosławią tegoroczną zimę. Oby nie się nie zmieniło! Oby tak dalej! Był nieznaczny mróz, szukałem stanowiska na lubelskim dworcu PKS, z którego odjedzie autobus najbardziej przepełniony. Prawie każdy mógł spełnić moje oczekiwania. Wybrałem stanowisko dwunaste. Stał tam właśnie mial o 13.50 wyruszyć autobus do Grandy przez Bełżycę. Już stapał... 20 minut opóźnienia: pasażerowie nieco podnieksytowani. Trwa jakiś spór, bo chętnych wielu, a miejsc za mało. Nie, kierowca nie może jeszcze wpuścić takich jak ja, bez biletów. Pierwszeństwo mała ci z biletami mieszczymi na ten kurs oraz ci, którzy wykunili przedtem w kasie A ja biletu nie kunoowałem bo sam nie wiedziałem, którym autobusem pojadę.

— Ludzie! Nie pchajcie się! — mówi spokojnie kierowca, ale widzę, że wiele musi w sobie poskromić, za chwilę może wybuchnąć — Jest jeszcze ktoś z biletami? O, widzi pani, teraz kilka osób może wiać, siedzących już nie ma. Dokąd pani? Do Motycza? Za 15 minut będzie następny. Zabiorę tylko tych, co poza Bełżycę! Kto do Krężnicy, do Zagórza, kto do Poniatowej? Ale przecież mówię pani że na Bełżycę wnet będzie następny, a potem jeszcze! Jak mają dojechać ci z daleka? Niech pani to zrozumie!

— Poproszę Krężnicę — przechytrza kierowcę-konduktora, bo chciałem tylko do Bełżycy.

Kobieta wycofuje się z niechęcią. Ja obstaję przy swoim, bo spodziewam się, że tu jeszcze może się coś wydarzyć. Jeszcze kilka małych perswadzaj, drzwi się zamykają, prawie wszyscy się wpełnili. Na dworze pozostali tylko ci, mieszkający na od-

Autobusy w poślizgu

cinu do Bełżyc, którzy nie posiadali biletów. Następuje kasowanie. Kobieta, która przed chwilą podobnie jak ja przechytrzyła kierowcę i powiedziała, że jedzie do Krężnicy, teraz chce płacić tylko do Motycza, bo po co ma wydać 12 złotych?!

— Niech więc pani wysiądzie i pojedzie następnym, nie tak przepełnionym — kierowca wraca do swojej poprzedniej pracy wychowawczej.

— Weszłam, to się nie ruszę i już! — upiera się zawzięta pasażerka.

— A ja nie ruszę autobusem — wciąż jeszcze spokojnie odparowuje gospodarz naszego pojazdu. — Chce pani do Krężnicy, proszę bardzo, a kto przed Bełżycami — może jechać później. Autobus aż się ugina.

— Co ja będę panu płacić tyle, niech pan daje bilet do Motycza!

— Przecież jesteście Polakami — kierowca próbuje raz jeszcze pedagogizować, ale wyczuwa się, że jego stanowczość już słabnie i wnet ten silny mężczyzna ulegnie owej „słabej” i upartej kobiecie. — Jesteśmy Polakami. Mówiłem do ludzi po polsku i pani mi po polsku odpowiedziała, że jedzie pani do Krężnicy, więc albo pani płaci i tam naprawdę jedzie, albo niech pani wysiądzie i nie hamuje odjazdu.

— Panie kierowco...

— Pani mi po polsku odpowiedziała, okłamała mnie pani, czemu ludzie mają się przez panią jeszcze bardziej tłoczyć, a tam stoi prawie pusty autobus na stanowisku trzecim?!

— Taki pan jest nieużyty — kobieta rzuca na odchodnym i woli chyba jednak oszczędzić 6 złotych. Ale co się wyklóciła, to się wyklóciła. Ulgę ma, i to za darmo.

Jedziemy Aleją Tysiąclecia. „San” jest trochę dychawiczny, przodem wypuszcza coraz szybciej parę, jak zmęczony pysk koński właśnie w takie, nieco mroźne popołudnie. Prowadzący autobus i siedzący na służbowym miejscu inny kierowca, wracający z pracy, spostrzegają to.

— Autobus wziąłem po Stadniku — mówi spokojnie gospodarz pojazdu. — On jeszcze trochę ma a ja w kierowca. Młody jest, pewnie rano capnął z placu wóz, wody nie dolał i siadł za kierownicą. Jemu starczyło, a mnie nic nie powiedział i teraz masz, bracie!

Wnet skręciliśmy w lewo, chyba na Snopkowską i zaraz stanęliśmy. Wzdłuż Alei leniwie i niepokaźnie przepływała Czechówka. Kierowca wyjął polewaczkę, i bez dalszego już uskarżania się ruszył po wodę. Poszedł dwa razy, napoił blaszaną mordę autobusu. Parujące nozdrza zostały zaspokojone i ruszyliśmy.

ŚWIAT SIĘ ROZPEKŁ

Dokończenie ze str. 1

— To zostało wam ile ziemi?

— Pięć i pół hektara w dwu kawałkach, trzy krowy i jałowica cielna, koń jeden, świnki dwie. I już trochę ciężko na gospodarce, bo lata swoje mamy. A tutaj jeszcze to się robi. Krowy nie wygna, bo te samochody. Obładu nie ugotuje. Błota nanieśli. Bielić chałupy nie warto. Niech nas wysiedlają, nich robią, co chcą.

— A wy dokąd?

— Ja się jeszcze na powierzchniową robotę nadaje, za stróża na przykład.

— Ja choćby i garnki zmywać w jakiej stołówce.

— Ale mieszkać gdzie trzeba.

— Grunt by się sprzedało, inwentarz i narzędzia tak samo Dzieciom można by trochę pomóc i sobie jakieś mieszkanie spółdzielcze kupić w Łęcznej albo Milejowie. Jak żeśmy tej gruszki nie pozwolili wyciąć, to nam jeden powiedział: prędzej wy stąd pójdziecie, niż my!

— Więc wasza ziemia cała przeznaczona pod kopalnię?

— Tego to my właśnie nie wiemy.

Dotąd świat nie stwarzał zbyt imponującej szanysy. We wsi Bogdanka, położonej z pół kilometra w bok od tego bocznego duktu. Pół kilometra błotnistej, gruntowej drogi, która choć dawno wytyczona została na 15 metrów szerokości, przejezdny pas ma tylko trzymetrowy, bo w reszcie każdy worał się, jak tylko mógł. Teraz trzeba było wyciąć drzewa przydrożne i cofnąć płoty. Cofnąć się bliżej tych drewnianych chałup z resztką zeszłorocznego wielkanocnego bielenia.

Kamena str. 4

— Według moich przewidywań, to te gospodarstwa, małe i rozdrobnione, nie będą zdawać egzaminu — powiada sołtys Bogdanki, Lucjan Styś.

— Ale gdyby tak nastawić się na warzywnictwo albo sadownictwo?

— Trzeba było cztery lata temu sad posadzić, żeby teraz zaczął owocować. A zresztą może ta ziemia pójdzie pod kopalnię? Nie wiadomo, co będzie z ziemią.

— A pańskie gospodarstwo? — pytam.

— Jest ponad cztery hektary, trzy krowy, cztery świnki, kilkanaście kur. Konia sprzedałem, bo koń to złodziej, więcej przeje niż zarobi. I od czego jest kółko rolnicze? Myślę o rozwiązaniu gospodarstwa.

Z Lucjanem Styśem rozmawiam w kuźni na budowie kopalni. Od początku roku jest tutaj zatrudniony jako pomocnik kowala. Ten 35-letni mężczyzna z żoną i czworgiem dzieci („najstarszy syn w pierwszej klasie zawodówki”) nigdy nie miał bliższej styczności z przemysłem. Ten właściciel gospodarstwa o rocznej przychodowości 23 000 złotych zdecydował się zaczynać od początku jako robotnik niewykwalifikowany. Z tej szansy on postanowił skorzystać.

— Za pierwszy miesiąc pracy wziąłem trzy dwieście, w przyszłym miesiącu może i do czterech wyciągnę. Tylko się odzwiać muszę jak wół, no i zaledwie jedna niedziela w miesiącu wolna.

— Ale sołtysa pokazywali w telewizji! — dowiekują w kuźni.

— On mógł sobie iść na tę budowę — mówi o Styśu nowy naczelnik gminy Puchaczów, Jan Zboch. — Ale ze społecznego punktu widzenia nie wszystko jest w tym przypadku jak należy, bo obowiązków sołtysa nie złożył, więc daje zły przykład. A obowiązki sołtysa są duże i tak on je ma zamiar łączyć z gospodarką oraz pracą w kuźni!

— Jesteście gminą na której terenie powstała budowa kopalni?

— Więcej nawet. Kopalnia rośnie w tej chwili na bezpośrednich gruntach puchaczowskich pod wsią Bogdanka. Z siedziby gminy do Łęcznej osiem kilometrów, do Milejowa jeszcze dalej, ale do kopalni tylko dwa kilometry. Z całej gminy ludzi ciągnie do górnictwa, trochę się rodzi poczucie tymczasowości u chłopów, a my musimy egzekwować zaległości podatkowe i robić rolnictwo na tym terenie, w końcu nie najbogatszym i rolniczo rozdrobnionym. Teraz ciągle się mówi o Łęcznej i Milejowie, ale nie mówi się, jaki ma być Puchaczów w związku z górnictwem i jaka ma być ta gmina. Zagospodarowanie rolnicze terenu robimy według dawnych zadań, jeszcze z epoki przedwęglowej. Ktoś nawet powiedział, że Puchaczów w ogóle nie ma szans! Ja nie rozumiem, o co chodzi.

Naczelnik, młody i nowy tutaj człowiek, mówi otwarcie i to mi się podoba. Przypominam sobie, co napisał w „Polityce” Aleksander Paszyński o „szybkim powołaniu władz nowych okręgów. I to na miarę przyszłości, tak by stały się one partnerami dla inwestorów”, działających w Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Może owa otwartość stwarza szansę takiego partnerstwa?

— Jaka więc mogłaby być szansa Puchaczowa?

— pytam naczelnika.

— Rolnictwo tu nie zginie, trzeba tylko pomyśleć o jego przeprofilowaniu. Szklarnie, pieczarkarnie. Ludzie już pytali o te sprawy. Myślę o całej gminie.

— A sam Puchaczów?

— Może u nas się znacznie i pociągnie w kierunku Łęcznej osada górnicza domków jednorodzinnych z ogródkami?

— Tymczasem zaś...

— Tymczasem, proszę pana, obroty gospody skończyły z 50 obładów dziennie do 500, a sklep spożywczy ostatnio więcej wyrobił w ciągu dziesięciu dni niż przedtem w okresie miesiąca. Zaopatrzenie w wędliny, mięso i przetwory mleczne, zresztą w

— 1 lutego wróciłem z urlopu, 2 w niedzielę, miałem mieć wolne. Zabrałem. Dziś miałem mieć wolne — zabrałem. Chyba dopiero 28 odetchnę. Kierowców brak, ludzie chorują, inaczej nie można.

— U mnie podobnie — pociesza go kolega, który wracał już z pracy. Dobrze, że zima taka łagodna.

Wysiadło wielu pasażerów, kierowca poprosił mnie na miejsce służbowe, a puszczone dopiero co przez przyjaciela. Poczułem się jak poseł. Staralem się więc odpracować to wyróżnienie rozmową, nie bacząc na ostrzegawczy napis w tej sprawie.

— To mówi pan, że gdyby była prawdziwa zima, ciężko by było.

— Panie, ile sprzętu trzeba by wycofać, może nawet połowę autobusów! Ale podobno z Jugosławią podpisana została nowa umowa. Już teraz przyszło 10 autobusów, nadejdzie więcej. Mówią, że zimy już nie będzie, inaczej połowa by stanęła.

— Zaplecze macie słabe — podpytuje.

— Słabe jest, ale ludzie robią, co mogą. Do tych „sanosów” i innych nowych autobusów szkoli się inżynierów i techników aż w Jugosławii. Myślę jednak, że powinno się wysłać kierowców i monterów. Inżynier pod autobus nie wejdzie, nie nauczy potem mechaników czego trzeba. A kierowca i monter lepiej wiedzieliby o co chodzi. Trzeba tylko z nimi podpisać umowę: pojedziesz, ale od nas nie uciekniesz do pracy w Lubelskim Zagłębiu Węglowym, podpisz kontrakt przynajmniej na 5 lat a pojedziesz za granicę się ucyć.

— Przepraszam pana — powiedziałem, kiedy zajechaliśmy na przystanek w Bełżycach. — Do Krężnicy już z panem nie pojedę. Chciałem tylko do Bełżyc, ale nie zabrałby mnie pan, więc pana okłamałem, intencje miałem czyste, tylko zawodowe. Jestem dziennikarzem. Odniosłem dobre wrażenia z pańskich rozmów z ludźmi i kontaktów z nimi w czasie jazdy.

— Czesław Wójcik jestem. Kierowców Wójcików w naszym oddziale jest aż trzech — informuje nieco stropiony.

Potem w rozmowie z dyrektorem Mieczysławem Wójcikiem — podobno nie jest krewnym tamtych Wójcików — oraz z Janem Łobęją dowiedziałem się, że kierowcy niewiele przesadzili. Biorąc pod uwagę konieczność wycofania części pojazdów i rosnące zadania, w tym roku tabor powinien powiększyć się przynajmniej o 200 nowych autobusów, tymczasem uwzględniając ubytki i przydziały zrealizowane, potrzeby te zaspokojone zostaną zaledwie w jednej czwartej. Zarząd Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa PKS musiał w tej sytuacji zrezygnować z wycofania wielu sfatygowanych już po-

jazdów i przedłużyć ich żywot poprzez kolejne kapitalne remonty. Zakłady Naprawcze Samochodów, nowy Oddział Remontowy PKS w Lublinie oraz podległe oddziały PKS w terenie we własnym zakresie przywrócić życie aż 867 autobusów. Inaczej trudno mówić o zwiększeniu zadań, a nawet o spełnieniu obecnych.

Kierowca „jelcza-315”, ciężarowego wozu z przyczepą, Jan Muławka, najczęściej wozi żwir i cegły na lubelskie budowy, albo otręby z Lubelskich Zakładów Młynarskich. Brał udział w zwózce ziemiopłodów. Mówi o zupach z wkładką dostarczanych nawet o północy, co pozwalało lepiej przetrwać pluchy i grzechawiska.

Najtrudniej było wywozić buraki cukrowe z miękkich składowisk w Suchodołach, Gardzienicach, Rybezewicach, Janowicach, Kawęczynie, Wierchowiskach i Strzyżewicach. W Janowicach np. była topiel. Siedzę czasem w samochodzie przy kierownicy, 3 traktory mnie wyciągają, a ja tylko patrzę kiedy mój „jelcz” się wywróci. Raz to mi nawet samochód porozrywał. Oni, ci z cukrowni, mieli za swoje tej jesieni i myśmy mieli za swoje, ale buraki trzeba było wywieźć, więc sobie pomagaliśmy. Otrzymaliśmy nieprzemakalne kurtki, rękawice i gumowe buty. Mał nieraz się taka zrobiła, że nogę człowiek wyjął z niej, ale bez buta, a trzeba było wytrwać. Zamiał 18 ton na wozie i przyczepie miałem 24, a z tego to nieraz tylko 20 procent buraków, reszta błoto. Przynicami w cukrowni rozmywali tę glinę i wydobywali buraki, ale musieli płacić za przewozy wszystkiego i potem jesz-

cze tę ziemię znowu wywozić gdzieś na pola. Ciężki był sezon. Mówią, że nie ma to jak kierowcy w przewozach towarowych, bo nie mają oni styczności — z pasażerem, ale i u nas nieraz bardzo ciężko i trudno wytrzymać. Tylko, że teraz regulacja płac i zniesienie podatku trzyma nas przy tej robocie, no, i wiemy, jak jesteśmy potrzebni w takim województwie, gdzie kolei jest tak mało.

— Co czwarta tona towarów przewożonych taborem PKS w Polsce przypada na nasze Wojewódzkie Przedsiębiorstwo w Lubelskiem — wyjaśnia wicedyrektor do spraw przewozów towarowych i spedycji, Leon Michałow-ski. — Nasze przedsiębiorstwo jako całość za przewozy pasażerskie i towarowe od wielu już lat uzyskuje wciąż I lub II miejsce we współzawodnictwie krajowym. Posiadamy sztandar przechodni ministra Komunikacji oraz Zarządu Głównego ZZ Transportowców i Drogowców.

Oglądamy fotografie z kampanii ziemniaczano-buraczanej. Niewyobrażalne warunki spowodowane aurą, złymi drogami i niewłaściwym przygotowaniem miękkich nie brukowanych składowisk ziemiopłodów.

Jan Muławka i inni jego koledzy w pewnych okresach roku są po prostu bohaterami. Ale czy tylko oni? A te słabe fizycznie konduktorki, a kierowcy autobusów, a rewizorzy? Henryk Saluk niedawno prowadził ostatni kurs do Sadurek a w Polesie „postulkali” go podpieci młodzi ludzie do Kozłówek prowadził autobus Roman Sadał, ale w Krasieninie pobili go podpieci chłopcy udający się tam na zabawę, którzy nie

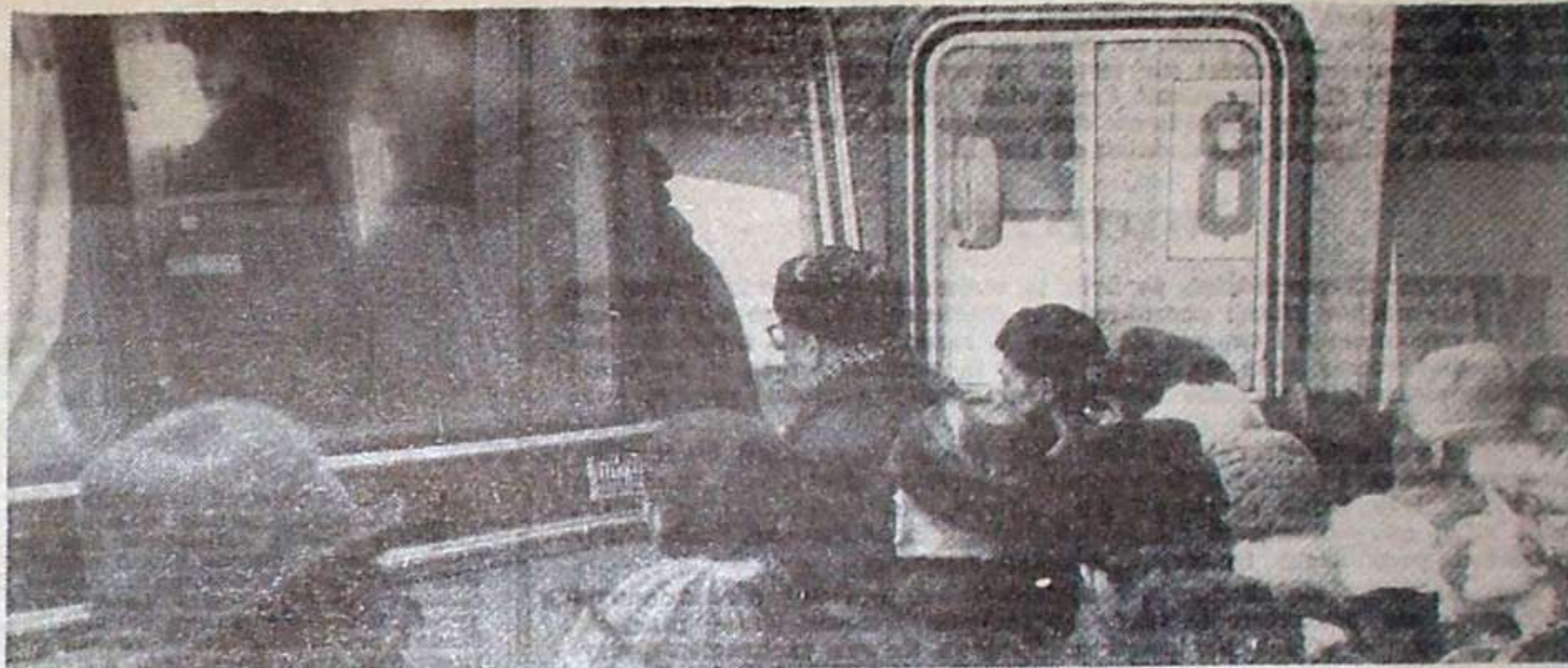
chcieli zapłacić za przejazd, do Krzeszowa jechał Czesław Grzesiak, ale w Zakusowie pobito go także. Cała ta trójka znajduje się właśnie na zwolnieniach lekarskich.

W rozmowie z dyrektorami dowiadujemy się wiele o tym, jak bardzo dba się w PKS-ach o morale zawodowe kierowców i konduktorów jak uczy się ich umiejętności współżycia z pasażerami, mówi się im o zachowaniu się większych zbiorowisk i jednostki wśród nich, zresztą przy oddziale lubelskim istnieje nawet pracownia psychologii pracy.

Stoję znowu na stacji Oddziału PKS w Lublinie. Jest sobota. W autobusach aż ciemno, tak pełno ludzi. Wielu pijanych osobników, którzy po trzech kilometrach rozgrzania wśród stłoczonej ciżby pasażerów, będą „haftować”. Ludzie niemal leżą na plecach zgnębionego kierowcy. Przed eleganckimi „sanosami” z linii „Lux” stoją ludzie, którzy mają nadzieję jeszcze się dostać, choćby na wąskie, stojące miejsca. Przez megafony dobiegają zapowiedzi o odjazdach, spóźnieniach i autobusach dodatkowych. Trudności wzrostu krzyczą nowymi potrzebami w związku z rozwojem górnictwa jaki już bliski. Przypominają mi się jednak słowa Czesława Wójcika:

— Przecież jesteśmy Polakami! Wszyscy mówimy po polsku! I przy kierownicy, i w głębi autobusu! Jedźmy na tym samym wozie! Musimy się lepiej rozumieć!

Tadeusz Jasiński



Fot. J. Polski

ogóle zaopatrzenie, skoczyło nieporównywalnie. Nie tylko w Puchaczowie. Także na przykład w Bogdanie, dokąd budownicy kopalni mają najbliższą. W bezpośrednim sąsiedztwie kopalni już stanął nowy pawilon GS...

— Tymczasem zaś...

— Tymczasem nasza gmina ciągle bieduje na garnuszku GS z Łęcznej, co zasadniczo nie jest normalne. I jak to myśleć o rozwoju rolnictwa, usług i handlu, choć przecie myślimy? Tymczasem na korytarzu urzędu codziennie stoją tłumy chłopów pytających nas o pracę w górnictwie, na co my nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć...

— Tymczasem jednak ludzie miejscowi muszą wiedzieć, kiedy zostaną odpisane podatki za grunty wywłaszczone pod kopalnię.

— Były zebrania informacyjne, ludzie się dobrowolnie rzekli ziemi. Gdy przyjdą z powiatu dokumenty wywłaszczeniowe do gminy, podatki zostaną odpisane, a kwoty nadpłacone przez rolników zostaną zwrócone. Tak samo należność za wywłaszczone grunty i ewentualnie zniszczone zasiewy, chyba że ktoś siał „na dziko”, na własną odpowiedzialność i ryzyko. Wszystko to są kwestie inwestora jednak, nie gminy, i wymagają trochę czasu, o czym ludzie zostali powiadomieni. Na korytarzu gminy wiszą wykazy cen gruntu w zależności od klasy. Każdy może przeczytać i będzie wiedział, ile otrzyma.

Dnia 2 stycznia br. „Ekspres Wieczorny” donosił: „W najbliższym czasie na podmokłych terenach wokół wsi Łęczna rozpoczyna się prace przygotowawcze do głębinienia szybów pierwszej kopalni lubelskiego węgla”. Jest to typowa „kaczką”, bo Łęczna to miasteczko, i nie „wokół” Łęcznej, lecz pod wsią Bogdanka na gruntach puchaczowskich, zaś prace przygotowawcze zaczęły się jednak nieco wcześniej.

Prawda natomiast, że grunt podmokły, co załodze z Przedsiębiorstwa Poszukiwań Naftowych w Wołominie i budownicy dróg wewnętrznych, ludziom przywykłym do niejednego, stwarza warunki pracy surowe i twarde. A zima tegoroczna faktycznie do niczego niepodobna, stąd potrzeba mro-

żenia gruntu do 200 metrów w głąb, jeśli szło o prace geologiczno-inżynierskie.

Bo na razie głównym włodarzem placu budowy są nie tyle górnicy, ile nacierze z Wołomina. Inż. Jerzy Janik z tego przedsiębiorstwa powiada:

— Normalne etapy budowy kopalni tutaj się spiętrzyły i poeniły. Wszystkie harmonogramy są znacznie skrócone. A przecież teren „surowy”, bez zaplecza.

— Byłaby to więc inwestycja słabo przygotowana?

— Chodzi absolutnie o co innego. Jest to inwestycja, która rodzi nowe zadania i nowe doświadczenia. A w Polsce tak się niejednokrotnie pracowało z doskonałym skutkiem. Więcej nawet. Tylko w ten sposób można coś zrobić i można się czegoś nauczyć.

— Rola waszego przedsiębiorstwa?

— Wykonujemy roboty geologiczno-badawczo-inżynierskie, mające na celu dokładne rozeznanie budowy geologicznej i warunków hydro-geologicznych w bezpośredniej bliskości dwu pierwszych szybów, oraz dużą część prac przygotowawczych do sealeńcia górotworu przy pomocy mrożenia. Już nam następują na pięty górnicy, którzy zaczynają głębinienie dwu szybów chyba latem tego roku.

Zanotowawszy skrupulatnie fachowe słowa inż. Janika, idę oglądać teren. Pod barackiem kierownika wołomińskiego nacierze stoi trzech jakichś. Dwaj młodzi-dorośli, obaj żonaci, ziemi nie mają, jeden zwolnił się z WSK, drugi jest kierowcą PKS, przedtem pracował na Śląsku w kopalni, ale wrócił na Lubelszczyznę, bo stąd pochodzi i tu się ożenił. Trzeci — szczawik — zasadniczą skończył rolniczą, prawo jazdy ma ciągnikowe, na razie przy rodzicach na gospodarce. Roboty szukają.

— I chcecie mieszkać w takich warunkach? — pokazują na szeregi zielonych barakowozów, przypominających nieco pojazdy cyrkowe.

— By się mieszkało. Na razie. A potem mieszkania by się rozwinęły i tu byłby nasz zarobek.

Podobnych ludzi zgłosiło się na budowę parę tysięcy od początku roku. Będą musieli poczekać do lata, kiedy ruszy drażnienie górnicze i prace pójną szerzej...

Ażurowe konstrukcje wznoszące się nad placem to jeszcze nie, oczywiście, wieże wyciągowe szybów górniczych, lecz urządzenia badawcze wo-

łomińskiego przedsiębiorstwa. W barakowozach mieszka 120 osób. W stołówce jednorazowo może zjeść obiad 30 osób, a stołówka też w baraku. Pracuje się na trzy zmiany w systemie czterobrygadowym. Nie ma lekko, ale nie ma też tragedii.

Odwiedzam jedno z takich mieszkalnych pomieszczeń. Światło elektryczne, radio, lodówka, woda w wiadrze, kuchenka elektryczna. Dwa łóżka, stołek. Trochę ciasnawo, a przyjdzie mieszkać i we trzech może. Troszkę te sprzęty sfatygowane. W sumie — znośna prowizorka. Jest tylko jeden z mieszkańców.

Chłopak 28-letni, kawaler. Pracuje jako pomocnik wiertacza otworów. Zarobki — około trzech tysięcy miesięcznie. Pochodzi z Lubelszczyzny, ale już z pogranicza warszawskiego. Wołomińskie przedsiębiorstwo prowadziło tam prace i zaangażował się jako niewykwalifikowany, ojciec gospodarstwo rzucił, choć 15-hektarowe.

— I ojciec pana puścił? — pytam.

— A co miał robić? — odpowiada pytaniem. — Ożeniłbym się i wraz z gospodarką ojca odszedł. Na wsi został młodszy brat i siostra, niech oni rządzą. Ja się na gospodarce nie zapatruję. Kiedy się większa robota rozwinię, może i o dalszej szkole pomyślę...

— Jak pan trafił na tę budowę?

— A normalnie, przetrucili mnie bo byłem robotnikiem w tym przedsiębiorstwie.

— Dobrze macie tutaj wyżywienie?

— Może być. Obiady w stołówce od pierwszej do czwartej. Resztę sami robimy w baraku.

— A zaopatrzenie?

— Sklep w Bogdanie. Jakiej chcieć kiełbasy, zawsze się dostanie, może trochę z mlekiem gorzej, masłem i jajkami.

— Więc na rolnictwo się pan nie zapatruje, a na co się pan zapatruje?

— Jak się tutaj dostanę, to może i zostanie. Pracownika będzie potrzeba...

— W kopalni?

— Jak będzie możliwość zostać na tej kopalni, to tak. Jakiego mieszkanie dostać, rodzinę zawiązać...

Maciej Podgóski

KOMPOZYCJA

ISTNIEJĄ różne odmiany marzeń. Urzędnicy w swoich snach stają się dyrektorem wielkich koncernów: wchodzi do elity arystokracji. Alkoholicy marzą o tym, by z kranu płynęły francuskie koniaki, a Baltyk zamienić w zbiornik piwa. Samobójcy co noc unicestwiają się w różnych pozycjach.

Moje marzenia dotyczą muzyki. Dziwnym zrzędzeniem losu natura obdarzyła mnie duszą kompozytora, nie dając umiejętności gry na jakimkolwiek instrumentie.

W moim mózgu zawsze krąży jakaś fraza, która niebawem zginie, nigdy nie usłyszana uszami innych. Faktem jest, że światło dnia nigdy nie ujrzy zapisu moich utworów.

WIZYTA

STARUSZKA otworzyła drzwi i spojrzała pytająco, a ja wiedziałem już, że nie zastanę w domu osoby, o którą mi chodziło, poznałem to po odgłosie zmęczonych nóg, dochodzącym zza drzwi i oczywiście mogłem już odejść o nic nie pytając, ale normy zachowania nakazały mi zostać, nie chciałem narazić tej kobiety, której jedyną rozrywką było otwieranie mieszkania nieproszonym gościom i odpowiadanie na ciągle te same pytania, więc zostałem, by nie pomyślała sobie, iż niepotrzebnie fatygowała się otwarciem, bo ten z drugiej strony już sobie poszedł, ciekawe czy miał interes czy tylko pijany, może by go zawołać, ale nie wiem, czy się odezwie, ci młodzi to wariaci, i zapytałem ją o to samo, a ona na to że nie ma, no to przepaszam i do widzenia, chociaż nigdy więcej jej już nie zobaczę, choć chciała jeszcze coś powiedzieć, byle przedłużyć czas bez samotności, tylko że ja już skończyłem i odszedłem, więc nie mogła tak w nieskończoność stać w drzwiach, toteż je zamknęła, by wszystko powróciło do stanu wyjściowego, przecież wcześniej wiedziałem, że nie mam po co iść, a mimo to poszedłem, chyba żeby się upewnić, zresztą nie wiem, może chciałem tylko rozerwać tę staruszkę, niech wie, iż nie mam względem niej złych zamiarów, a kiedy wyszedłem i coś wpadło mi do oka, wtedy zrozumiałem, co miała na myśli pewna dziewczyna, mówiąc że ma służącą, chociaż nie jestem pewny, bo nie zawsze wpada mi coś do oka, gdy chcę zapamiętać i nie wiem już, o co mi chodziło, kiedy płakałem, ale chyba to nie było nic dotyczącego losu starszych, niepotrzebnych kobiet, służących jako dodatek do klamki.

WYCIECZKA

MUSZĘ Ci powiedzieć, że była to wspaniała wyprawa; dawno już nie miałem okazji podróżować w okolicach gór, więc odświeżyłem wspomnienia i okazało się, że nic w zasadzie się nie zmieniło, chociaż rzeczy były na pozór nowe, to miałem wrażenie, iż znam wszystko dokładnie, zupełnie tak, jakbym między górami spędzał całe życie.

Moja pierwsza wycieczka utkwiała mi na długo w pamięci: siedłem po strumyńskim zboczach i później przeniosłem się na szlak, ograniczony wyraźnym podwyższeniem. Szlak prowadził przez liczne, acz dosyć krótkie tunele, miał kilka ostrych zakrętów i śmiem twierdzić, iż był sztucznie i niepotrzebnie przedłużony, by turysta tylko się zmęczył.

Wreszcie droga się skończyła i znalazłem się w dosyć niecodziennym położeniu: oto podwyższenie nagle gwałtownie zmieniło trasę przejścia, opadając stromo w dół. Na końcu dostrzegłem dziwne zakręcenie, urywające się przepaścią, tak więc pozostało mi tylko zawrócić i tak samo udać się w drogę powrotną.

I jeszcze jedno: następnego dnia, kiedy wyszedłem na spacer, szczyt pokonywany wczoraj zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Tak wyglądał monolog mrówki, która dwa sezony spędziła na wakacjach w mieście.

PRZYCISK

KIEDY nadszedł czas, że musiałem przyswoić prawdę, nie chciałem być wystawiony na pokusy. Nie miałem już tematów do opowiadań, skończyły się pomysły. A uparta ręka wciąż chwytala za pióro, aby po chwili opaść bezwładnie. Nie mogłem dłużej tego znieść.

Zakupiłem nóż, przygotowałem pniaczek. Ostatni raz wykonywałem ruchy tym zbędnym odgałęzieniem organizmu. Lęk alkoholu dodał mi sił. Za jednym zamachem odrąbałem sobie prawą dłoń. Nie było to nawet zbyt bolesne. Ot, coś jak uderzenie zimnym przedmiotem. Tylko kałuża krwi, zebrana na podłodze, świadczyła o tym, że nie było to zwykłe uderzenie.

Opatrując ranę, zauważyłem że dłoń, na pozór martwa, porusza się jeszcze, jakby nadal pisała. Włożyłem pióro pomiędzy palce i oto na papierze pojawiło się pierwsze opowiadanie. Było w nim mnóstwo krwi, która wyciekła z przeciętych żył. Dłoń zachowałem na pamiątkę i używam jako przycisku do rękopisów. Resztę opowieści dopisałem lewą ręką.

NARKOTYK

ZNARKOTYKIEM zetknąłem się po raz pierwszy z okazji pobicia mnie przez grupę bezrobotnych chuliganów, wskutek czego lekarze zszywali mi wargę.

Znajdowałem się w błękitnym ogrodzie, gdzie wszystkie rośliny tuliły się i przemawiały do mnie. Jednakże po jakimś czasie znużyłem się im i zaczęły traktować mnie jak intruza. Podstępnie klęły moje ciało błękitnymi kolcami, wydawały nieopisaną smród i obrzucały przekleństwami. Zaczęłam im oddawać razy i nagle... sam stałem się rośliną, stojącą w doniczce. Chciałem zawołać o pomoc, ale z ust moich wydobywała się jedynie pleśń, chwająca obecny stan...

Moja halucynacja nie dawała mi spokoju, więc pragnąłem jeszcze raz wejść do tego ogrodu. Niestety, wszędzie, gdzie zachodziłem, liście drzew były zielone.

Stałem się narkomanem. Nie mogę już żyć bez moich snów i odczuć...

Raz była to wizja straszna. Byłem pudełkiem z zapalnikami, o które jakiś piroman stoczył prawdziwą bitwę ze sklepikarzem... Co jakiś czas pocierał zapalnik o mój bok. Wkrótce miałem całe plecy poranione i poparzone...

Pytanie, czy lepiej zostać narkomanem, którego w rzeczywistości nic nie obchodzi, czy normalnym człowiekiem — jak wiele innych pozostało bez odpowiedzi.

Kamena str. 6

Halina Bezak

ODWIEDZINY
W STARYM LICEUM

Gdzie jest teraz
ta dziewczyna
w granatowym fartuszk
podobna do mnie z rysów,
ale tak poważna,
że nie miałabym odwagi
z nią rozmawiać?
Zbierała kasztany
i uśmiechy
swojego nauczyciela.

Zarósł
nie do przebycia
wszystkie ścieżki
prowadzące od niej
do kobiety
w spodniach,
dla której
wyjście z ramion mężczyzny
nie jest skokiem
w przepaść,
a tylko sięgnięciem
po kolejnego papierosa.

Waldemar Dras

DREWNIANY
WARKOCZ NOCY

drewniany warkocz nocy
przesuwa się doskonale
do tego spleciony po części
chłosta nr 6 po plecach
i nogach jak przyjaciel

drewniany warkocz nocy
skacze po moim łóżku miłości
w przerwach opowiada conieba
wreszcie zabija mnie
mokrą brzytwą do gardła

I wtedy razem budzimy się na dzień

drewniany warkocz nocy
wąskim nożem języka
lechce moje usta od zaraż a później
stoi obok jak baran
bez twarzy

żaden z nas nie chce zacząć pierwszy

wreszcie matka Daje Znak

chłostamy się wtedy po plecach
jak dwa anioły
w zgniełej tchawicy nieba.



Fot. B. Wleczorek

Poznawajmy!

REGION lubelski posiada już małą biblioteczkę swoich monografii. Wanda Sliwina opracowała jego podania i baśnie Helena Piłta naszkicowała cykl obrazków historycznych August Grychowicz określił miejsce Lubelszczyzny w życiu i twórczości pisarzy polskich Konrad Bielski przedstawił wiele swenementów z lubelskiego życia literackiego, a Henryk Gawarecki — grodu nad Bvstrzycą architekturę i urbanistykę. Osobny dział na odcie książkowych lublinianów stanowi opracowanie dotyczące Ruchu Oporu, a można jeszcze mówić o wydawnictwach okolicznościowych temat lubelski poruszających przy okazji, czy w sposób fragmentaryczny.

Ostatnio do szeregu tych publikacji cenna pozycja dołączył Lesław Gnot. Jego książka pt. „Lubelszczyzna. Dzieje — ludzie, krajoznaz” nie zajmuje sprzeczowanego punktu widzenia ani nie kieruje spojrzenia na określony kraj tematyczny, ale zgodnie z znanymi tytułami stara się przedstawić możliwie wiele o Lubelszczyźnie zarówno z dziedziny historii, gospodarki i budownictwa. Jak kultury, obyczajów i życia społecznego. Zamierzaniem autora było dać coś w rodzaju rozszerzonego znanego w lubelskim baedekerze, wademecum regionalisty.

Jakoż dość ciekawie wędruje się przez obszary geograficzne i historyczne czasy tego kawałka Polski nawet mieszkańcom Lubelszczyzny. Zawsze czegoś można się dowiedzieć. Na przykład, że nazwa Kazimierza nad Wisłą nie wywodzi się od Kazimierza Wielkiego, bo osada w tym miejscu i tak nazywana istniała za czasów Bolesława Chrobrego, a obecność Esterki w zamku rzekomo wybudowanym jako jej rezydencja jest tylko na użytek romantycznej wymyślona legenda. Ze wsi Chodilk w powiecie Opole Lubelskie odkryto ślady grodziska liczącego tytu mieszkańców, co czternastowieczny Kraków, to znaczy 10000. Ze Izabela Czartoryska — zasłużona dla rozwoju kultury opiekunka artystów — miała kolekcjonerskie hobby nie zupełnie na miarę swych zasług, skoro w jej zbiorach znajdował się but kozaka figurujący tam jako but Dżyngis-chana „zarekomendowany” tam dla kawału przez jej matkę.

Oczywiście nie pod kątem sensacyjek należy prowadzić lekturę tej książki zamierzonej przede wszystkim w celu dostarczenia potrzebnej informacji. Należy z uznaniem odnieść się do rozmiarów wyimaginacji przez to pracy do tych wielu godzin spędzonych przy archiwaliach, których zaledwie część mogła się przydać tekstowi, ale których całość musiała być wzięta na warsztat monografisty. Stąd też mamy Lubelszczyznę wyrysowaną dość wszechstronnie. Wiele o rzemieśle i rolnictwie, o wydarzeniach i miastach, o słynnych ludziach, o zasobach naturalnych, o nowostawianiu nowych ośrodków przemysłowych, o gospodarce rolnej o perspektywach nowoczesnego rozwoju. Włenlowski — jest Roztocze — także. Świdnickie śmiłłowce — obywatelstwo.

Można zauważyć, że przy takiej rozpiętości tematycznej poszczególne dziedziny mimo wszystko nie mogły być potraktowane w rozmiarze odpowiadającym ich wspaności, ale taka jest koncepcja książki. Inaczej miałbyśmy „buch” bezwzględnie tysiąca stron a z nowożeniem można by sobie zawieszować więcej. Książka jest napisana jako kompendium najważniejszych wiadomości o Lubelszczyźnie, jako drożownik rozporządzający po tematach tej

ziemi zapisanej zarówno w historii ludowego państwa jak i w planach jego perspektywicznego rozwoju.

Ma więc miłośnik Lubelszczyzny dość dokładny rozkład jazdy dla swoich zainteresowań. Ale co by zmieścić wśród trzech możliwości określić zawartość przyszłego opracowania? Czego nam jeszcze potrzebny? Dotyczy to raczej samego Lublina. Otóż jest to miasto które szczególnie wyraźnie przeżyło zmiany ustrojowe i cywilizacyjne widoczne na przestrzeni lednego stulecia. Jeden i ten sam człowiek zna Lublin studentem charakterystyczny przez kasiedztwo niemal wiejskiego pejzażu ze śródmieściem, zaciśniętym i (Czechowicz) nad takimi przyczepnietymi — oraz Lublin jako teren demograficznej eksplozji która powiększyła liczbę mieszkańców przeszło dwukrotnie, urbanistycznego skoku, który otoczył miasto pierścieniem nowoczesnych dzielnic. Ze względu na swą skalę zjawisko to wychodzi na pierwszy plan w kraju i referaty owalowały je wystarczającą ilość razy, ale czy nie ma tu pola działania dla monografisty? Pokazane tegoż Lublina różne oblicza, udokumentowane poszczególne stadia rozwoju. Na przykład Gimnazjum Stanisława Dąbrowskiego (dawnej Bernardyńska), następnie Narutowicza, a obecna siedziba na Alejach Racławickich jest jego siedzibą trzecią. Muzeum znajdowało się w budynku na Narutowicza 4, na Placu Wolności wieża ciśnień, w miejscu gdzie wznosił się dwi gmach dyrekcji kolei, krzyżowało się kiedyś „do biegu gorowi, hon!” bo tam był start do stumetrowki i w ogóle stadion sportowy WKS „Unia”. A przebiecie przez tor, które jeszcze nie było tunelu — tego na ulicy Kunickiego, a tarasowisko na tej nachyłości, która rozciąga się od ulicy Lubartowskiej do ulicy Hanki Świątek, a lotnisko Plage-Łaskiewicza... Co tu dużo gadać: są jeszcze ludzie, którzy pamiętają, że w Lublinie było wszystko — nie do wiary — zeszłe takówce!

Oczywiście nie chodzi o sam zanie retrospektywny, ani o jeszcze jedną sposobność do stwierdzenia rozmiaru drogi przebytej od obszaru „Polski B”, ale uśmiech lubelskiego regionalisty nad kartami takiego opracowania jest czymś co przyszły jego autor powinien zaplanować sobie jako narzędzie za trud i wysiłek. Temat jest wdzięczny.

Ale cóż. Dajmy pole do marzenia miłośnikom regionu, a nie opędzimy się od zyczeń, z których każde okazał się uosławione w sposób wzruszający. Niezależnie więc od przesłanej świadomości o tym że lubelski temat żyje niezależnie od zapotrzebowania na „monografie lednego stulecia” należy stwierdzić że książka Lesława Gnota zawiera przedstawienie problemów Lubelszczyzny w rzetelnym ujęciu i jest cennym solusznikiem w akcji poznawania naszego regionu. Jej słowa wstępne nosi tytuł „Kraina nieznaną”. Wynika stąd całkiem praktyczne wnioski.

Warto jeszcze z uznaniem podkreślić solidność opracowania technicznego: rozdrukiła zdjęć nadier korekta — wszystko bez zarzutu a tego nie można przyznać wielu autorom wydanym.

Wydział Mikulski

*) Lesław Gnot: „Lubelszczyzna. Dzieje i krajoznaz” Wydawnictwo Lubelskie — 1974 r. str. 334, cena 40 zł.

Paweł Merlend

Na początku była głębia,
Potężna,
pełna pokładanych nadziei

na niej wyrastała konstrukcja
— trwała,
najtrwalsza

Rosły tarasy,
piętra,
ganki,
balustrady,

lecz brak równowagi
sprawił,
że dźwigar, który wspierał konstrukcję,
ustąpił pod ciężkimi stropami

— nie wytrzymał budowli,
odsłonił pustkę,
zmiażdżył ludzi

Lżej ranni starali się
niezrozumiałym bełkotem
zwołać innych
lecz bezskutecznie

Wolani na zawsze zaprzestali słuchać

SYNOPSIS Stefan Zarębski

Chłopcy nie biją w topory i nie ma
Panien żalobnych. Jest uchwały chorąg.
Jest czelusić czarna z pokrywami dwiema
Nieba i ziemi, które złączyć pora.

Nie pójdzie dalej karowód. Nie zmieni
Elipsy z dawna wytyczonych orbit.
Gdy cień śmiertelny podąży do cieni.
Aie za trumną szedł w zadumie Norwid.

Zda się, że można jeszcze zgarnąć szept
I wróć słowem; ciepło jeszcze tchnienia
W powietrzu tieją. Dlaczego zakrzepły
Rysy i uśmiech na twarzy skamienia?

Milczący posąg za całą odpowiedź,
Zda się poruszy nieruchome ramię —
Zanim i gesty zoczną posągowiec,
I myśl zdrętwieje, skrzydłem bijąc w kamień.

Więc ani zegar nie drgnie, ani światło,
Kiedy ostatnia dobiega godzina,
Żadne zdarzenie przecuciem nie natchną —
I nawet może nie drgnąć warga syna?

Więc odejść znaczy przyjść dopiero, stanąć
W konturze ostrym i rozwartym oczom
Żywy ukazać portret — świeżość dawną
Lica, po którym starcze lzy się toczą.

Nie ma rozpacz. Jeśli kto ją przeżył.
Tym bardziej nie ma jej... Wstrząsane dreszczem
Ręce — szukały ubrania: żył wązły
Widziałem w skroniach nabrzmiałe... I jestem?

I mogę dotąd niewybuchłą żołąć
Utrzymać w pierś? A widziałem więcej:
Na srebrze okna ośniewoną gałąź,
W kryształkach — słońca odbite rumieńce.

Po obu stronach przywarci do szyby,
Ale ta szyba z cienia, wszystko cieniem,
Łowimy głosy swe, dźwięczne jak nigdy,
Ale ta szyba z próżni, echo nieme.

I dniami czy nocą, nie mogąc jej przebić,
Będziemy trwali z wytyczonym słuchem —
Aż nagły, ostry brzęk ogłuszy kiedyś,
Gdy pryśnie szyba: szklana jest, szkło kruche.

Pokój — zakłętą szczęściem. Stół pośrodku.
Tapczan opodal, fotel. tutaj pobyc.
Sprawdzać wieczorem, czy zegar w porządku,
W polyskach światła nowej czekać doby.

A teraz cofać się trzeba. Z wieczora
Odpychać gwiazdy do zesłego zmroku.
Bo nie ma dziś ni jutra — tylko wczoraj,
I tam słoneczny czeka wieczny pokój.

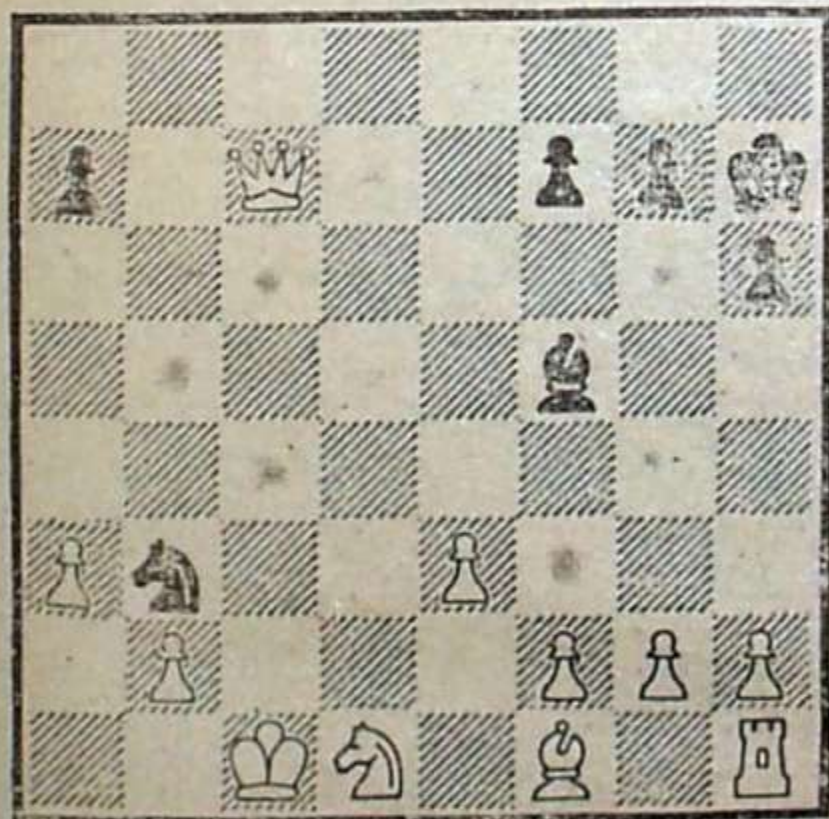
NA przełomie roku uczestniczyłem w jubileuszowym pięćdziesiątym Kongresie Szachowym w Hastings (Anglia).
Ta najstarsza z tradycyjnych, dorocznych imprez szachowych wyraźnie podupadła. Nawet powiększenie, co prawda minimalne, funduszu nagród (I = 600 funtów) nie przyciąga arcymistrzów ekstraklasy światowej. Gdzież te czasy, kiedy to samo zaproszenie do Hastings było wielkim zaszczytem, nawet dla mistrzów świata!

Cóż, tradycje zanikają, nawet w Anglii...
Pod nazwą „Kongres” kryje się kilkanaście różnych turniejów grupujących kilkuset szachistów wszelkich kategorii.

Najważniejszym turniejem jest „PREMIER”, w którym 16 graczy walczy o główną nagrodę. W tym roku triumfował czeski arcymistrz V. Hort — jedyny gracz światowej ekstraklasy przybyły na Jubileuszowy Kongres.

Hort turniej wygrał bardzo pewnie, pomimo że na starcie przytrafiła mu się przykra awaria w pojedynku z aktualnym championem Anglii — Botterillem, który czeskiego arcymistrza formalnie rozgromił. Tym razem — w roku ubiegłym występowałem w „Premier” grałem w drugiej w hierarchii Kongresu grupie, w „Challengers”. Stawka była nagroda 200 funtów szterlingów i awans do przyszłorocznego „Premier”. Nie byłem w najlepszej dyspozycji i z zajętego 12-19 miejsca, mimo imponującej liczby 72 uczestników, zadowolony być nie mogę...

Czytelnikom „Kamena”, tym zasiadającym — przynajmniej w domu — do szachownicy, przewiozłem mały „smakołyk”:
R. VAGANIAN — A. PLANINC partia angielska.



1.d4 Sf6 2.c4 e5 3.Sf3 Gd4 4.S:d4 e6 5.Sc3 Gb4 6. Sdb5 0-0 7.a3 G:c3+8.S:c3 d5 9.Gg5 h6 10.G:f6 H:f6 11.cd5 ed5 12.H:d5? — to lakomstwo, fachowo zwane „pionkożerstwem” zostanie srode ukarane! 12. ...Wd8 13.Hf3 Hb6 14.Wd1 W:d1+ 15.D:d1 Sc6 16.He3 Sd4! 17.He8+ Kh7, 18.e3 Sc2+19.Kd2 Gf5! — nieprawdaż, że analogiczna idea miała miejsce w partii Gaprindaszwilli — Servate (patrz: „Kamena” nr 3/75). 20.H:a8 Hd6+ 21.Kc1 Sa1! 22.H:b7 Hc7+! i wobec perspektywy mata po 23.H:c7. Sb3x (patrz diagram) białe skapitulowały.

Fenomenalne wydarzenie, dwie ostatnie figury czarnych uczyniły to, co mogło być marzeniem, pozostałej przy życiu, armady białych...

W drugiej połowie stycznia w malej holenderskiej „wiosce nad morzem” — Wijk aan Zee — odbył się 37 Hoogoven Schaaktoernooi. Impreza ta, od lat konkurująca z Kongresem w Hastings, posiada ustaloną renomę i słynie tak z atrakcyjnych nagród, jak też doskonałej organizacji.

Podstawą jej bytu jest „strumień gotówki” płynący z olbrzymich hut i „akładów metalurgicznych „Hoogoven”, które tym typowym na zachodzie sposobem — fundując na cele społeczne, zmniejszają obciążającą je stopę podatkową.

A swoją drogą: Holendrzy naprawdę są rozmiłowani w szachach!

Główny turniej przyniósł sukces węgierskiemu arcymistrzowi L. Portischowi przed niezmordowanym V. Hortem, który zasiadł tu do gry już następnego dnia po zakończeniu Kongresu w Hastings.

W grupie mistrzowskiej (odpowiednik angielskiego „Challengers”) startowali m. in. aktualny mistrz i wicemistrz naszego kraju: W. Schmidt i A. Sznapik (oba z „Marymontu” Warszawa). Schmidt był drugi za byłym mistrzem Moskwy Dwore'im. Sznapik, już tradycyjnie, wypadł źle: był czwarty... od końca. Swoją drogą nie rozumiem polityki Zarządu Polskiego Związku Szachowego w odniesieniu do tego zawodnika. Najpierw wysłano go w 1972 r. na olimpiadę w kondycji fizycznej kwalifikującej do ostrego leczenia szpitalnego (!), następnie zajmuje regularnie ostatnie miejsce (Polanica — 72,

REFLEKTOREM PO SZACHOWNICACH ŚWIATA

Krzysztof Pytel

Odessa — 73, Soczi i Tbilisi — 74), przeplatając je takimi jak teraz „osiągnięciami” — i co? I nic, żadnych wniosków! Kto za taką rozrzutność odpowiada? Powiadają, że: „brat w Zarządzie PZSzach, kolega klubowy wiceprezesem Związku...”. Ja w to nie wierzę (!), ale co mają myśleć młodzi zdolni zawodnicy (Z. Szymczak z Lublina, J. Bielnyk z Katowic, A. Maciejewski i J. Pokojowczyk z Bydgoszczy), dla których brak miejsc nawet w krajowych imprezach?

W jednej z licznych grup turniejowych startował kierownik sekcji szachowej lubelskiego „Startu” — Zdzisław Wojcieszyn. Wypadł zupełnie dobrze, był 5-6 w swej 10-osobowej grupie. Głównym jego zadaniem był jednak „wywiad”. O tym, czy należyce podpatrywał tamtejszą organizację, przekonamy się już niebawem, w lipcu, podczas lubelskiego XI Szachowego Festiwalu im. PKWN!

W ostatniej dekadzie stycznia szachowa ekipa „Startu” Lublin wyruszyła do Moskwy na mecz rewanżowy z reprezentacją Uniwersytetu im. Lomonosowa w Lublinie — co było naszym sukcesem i wywołało sensację — gospodarze byli góra. Nastąpiła pora rewanżu...

Jechaliśmy w dobrych nastrojach: bezpośrednio przed podróżą wpadł nam do rąk drugi numer „Sportowca” z 14 stycznia br., w którym red. J. Żemantowski w artykule „Pojedynki” podjął się obrony naszego skalpu zdartego bezceremonialnie przez sędziów na ostatnich Drużynowych Mistrzostwach Polski w Poznaniu.

Podróż zleciała szybko i przyjemnie: dowodzący ekipą wiceprezydent Lublina, mgr inż. Jan Chatała, okazał się świetnym brydżystą — śmiało liczył, błyskotliwie w dobrym tempie rozgrywał; przegrany był tylko jeden człowiek w ekipie, nawet nie pamiętam kto... (myślę jednak, że redaktor naczelny „Kamena” okaże się dobrym detektywem i po ustaleniu „kto jest przegrany” — uwzględni ten fakt przy obliczaniu wierszówki).

Na dworcu Białoruskim oczekiwali nasi gospodarze oraz lublinianin — Jacek Mardarowicz studiujący w Moskwie w Instytucie Kultury Fizycznej — jako pierwszy Polak na wydziale szachowym (!)

Dwa dni busujemy po Moskwie, a następnie trzy dni ciekłych gier. Rewanż jest srogi: na 14 gier uzyskujemy 5 remisów. Rozmiarzy porażki zarysowały się w momencie, gdy zapominając o tym, że „ojciec syna był nie

za grę, lecz za to, że ten chciał się odegrać” — podjęliśmy ryzyko gry na wygraną w pozycjach nie dających ku temu realnych przesłanek.

Niemalby wpływ odegrał tu błąd naszej „dyplomacji”: wyraziliśmy zgodę (mea culpa!) na atrakcyjne, ale przy tamtejszych odległościach niebawem męczące wycieczki w dniach rozgrywek.

Trzeba też zauważyć, że Rosjanie — po prostu są wyraźnie od nas lepsi... (!)

Sprawę — jak podkreślała prasa radziecka — dowcipnie podsumował wiceprezydent Chatała:

— W domu to i ściany pomagają... tyle, że w Uniwersyteckim Pałacu na Leninowskich Wzgórzach są one bardzo wysokie!

Wizyta w Moskwie to nie tylko mecze szachowe, nie tylko zwiedzenie Tretiakowskiej Galerii, Mauzoleum Lenina, czy też ekskursja do Borodinskiej Panoramy, czy wreszcie chwile satysfakcji na „Jeziorku Labędzim” w wykonaniu słynnego tamtejszego baletu.

Pobyt w stolicy pierwszego „mocarstwa szachów światowych” to także okazja do licznych spotkań, do odwiedzenia starych i nowych znajomych. Wreszcie, ostatnio najbardziej frapujący temat: co nowego w sprawie meczu Fischer — Karpow. To intrzyguje tu dosłownie wszystkich...

Już po powrocie do kraju dowiadujemy się, że w dniach 18-20 marca w Amsterdamie odbędzie się nadzwyczajny Kongres Międzynarodowej Federacji Szachowej mający za zadania ponowne, wbrew stanowisku Szachowej Federacji ZSRR i wielu innych państw (!), przeanalizowanie regulaminu ustanowionego na poprzednim zwyczajnym Kongresie FIDE w czerwcu 1974 r. w Nicei, z którym to regulaminem aktualny mistrz świata, Bobby Fischer, nie chce się zgodzić.

W trakcie naszego pobytu, na tapecie była dyskusja o ewentualnym miejscu pojedynku. Kandydatur wiele; czy przeciwnicy dojdą do porozumienia sami czy też ciężar decyzji — podobnie jak to miało miejsce 3 lata temu przy meczu Spasski — Fischer — spadnie na barki prezydenta FIDE, prof. Maxa Euwe'go?!

Oficjalne potwierdzenie uzyskuje wiadomość, że prezydent Filipin, Marcos, oferuje się zorganizować mecz Fischera z Karpowem w Manili, przeznaczając na nagrodę kwotę 5 milionów dolarów (67,5 proc. dla zwycięzcy i 32,5 proc. dla pokonanego)!

Dodatkowo Filipińczycy przeznaczają jeden milion na organizację. Trzeba przyznać, że oferta wielce pożądana...

Znany wesolek i dowcipniś arcymistrz Edward Gufeld opowiada nam, że według jeszcze nie potwierdzonych doniesień, także szach Iranu zamierza stawać do przetargu i w tym celu wysłał następującą depezę (cytuje):

„Biuro FIDE”. Amsterdam do Prezydenta prof. Euwe. Stop. Szanowny Panie Prezydencie Stop. Zgłaszamy naszą chęć podjęcia się organizacji szachowego meczu o mistrzostwo świata pomiędzy Fischerem i Karpowem. Stop. Bardzo przepraszamy, że oferty naszej nie złożyliśmy w wyznaczonym przez Pana terminie. Stop. Żywno jednak nadzieje, że to formalne niedopatrzenie nie stanie na przeszkodzie w rozpatrzeniu naszej kandydatury Stop.

Ponieważ nie mamy doświadczenia w organizacji podobnych imprez, będziemy niezmiernie wdzięczni, jeśli Pan sam ustali fundusz nagród Stop. Bardzo prosimy aby nagroda dla zwycięzcy, w miarę możliwości nie przewyższała kwoty 20 milionów dolarów. Stop. Wyrazy szczerzego szacunku Stop.”

Oczywiście, bajeczka, której autora natychmiast rozszyfrowaliśmy.

Ale... ciągle perypetie, żądania ze strony Fischera — i co ważniejsze gotowość do ich spełnienia przez różnych mecenasów — nie czynią jej wcale prawdopodobną...

Nie dziwnego, jak twierdzi Gufeld, że liczni słuchacze w autentycznym depezy uwierzyli!

A tak serio, to dziś i sam Fischer jeszcze nie wie, czy do meczu przystąpi. A zresztą, jeśli dziś wie, to jutro... zmieni zdanie!

KIEDY zapowiedziałem telefonicznie swój przyjazd do redakcji „Przyjaciółki”, w głosie jej redaktorki naczelnej (świadomie piszę redaktorki uważając, że to podnosi, a nie obniża rangę stanowiska), p. Barbary Moroz, wyczułem zdziwienie. Najwidoczniej rzadko się zdarza, aby dziennikarz jednego pisma interesował się drugim. Pewne opory, muszę przyznać, mieli i moi koledzy z „Kamena” a chyba najbardziej zdębiał zastępca dyrektora Wydawnictwa, kiedy podpisywał moją delegację służbową. „Czego Jaworski szuka w „Przyjaciółce”?

„Czego? Tematu na dzień Świeta Kobiet! Tak myślałem, jadąc do Warszawy. Dzisiaj po przejrzeniu zaledwie kilkudziesięciu spośród 120 tysięcy listów, które rocznie wpływają do tego najbardziej w Polsce popularnego tygodnika, wydaje mi się, że nie dziennikarze, ale przede wszystkim pisarze powinni być stałymi gośćmi w lokalu przy Wiejskiej 16. Proszę się nie śmiać, stwierdzam to zupełnie poważnie. Nie ma lepszego obrazu, bardzo wszechstronnego obrazu współczesności, jak właśnie autentyczne wypowiedzi czytelniczek, które dzieląc się swymi radościami, bądź prosząc o pomoc redakcję, traktują ją niczym najbliższą osobę.

Jednak to nie koniec. W ubiegłym roku obaj chłopcy otrzymali dowody osobiste. Jeden syn ma ojca Mariana i matkę Irenę, drugi — Mariana i Helenę. „Mamo, dlaczego ja mam matkę Irenę?” — zapytał mnie. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale skłamałam: „Widocznie w Urzędzie Stanu Cywilnego pomylili imiona. Nie ma co protestować”. I udało się.

Ten mój przybrany syn ma obecnie, jak wspominałam na wstępie 18 lat. I teraz nie wiem, czy mu powiem całą prawdę. Boję się, jak on zareaguje, gdy dowie się, że jego matka żyje i że on jest tym dzieckiem, które odrzucono od jej serca...

Listów o podobnej treści pismo otrzymuje wiele. Problemy nie są łatwe, redakcja korzysta z pomocy specjalistów z różnych dziedzin — prawników, psychologów, socjologów, lekarzy, pedagogów itp. P. Krystyna Łuniewska, kierowniczka działu listów i interwencji, i p. Maria Zybert, kierowniczka działu poradniczego, mają sporo pracy. Prezes RSW „Prasa-Książka-Ruch” docenił w ub. r. działalność 36-osobowego zespołu działu listów i interwencji, przyznając mu specjalną nagrodę. To się na pewno liczy, ale jeszcze bardziej cieszy radość czytelników, którym pismo pomogło w trudnych sprawach i w

„Przyjaciółka” od serca

Marek Adam Jaworski

Czy np. ten list — przytoczę go w skrócie — nie może stanowić konspektu powieści obyczajowej? Posłuchajmy:

Droga „Przyjaciółko”! Od sześciu lat jestem wdową i mam czworo dzieci: dwie córki — jedna 21 lat, druga 15 — i dwóch synów po 18 lat. Jeden z tych chłopców jest synem mojego męża z dziewczyną, mającą już dwoje dzieci — bez ojca. A zdarzyło to się w kilka lat po wspólnym i zgodnym współżyciu małżeńskim. Mieliliśmy już trzyletnią córeczkę. Niestety, stanowisko i otoczenie sprowadziły męża na złą drogę. Skutki tego doprowadziły do dziecka pozamałżeńskie. Wiadomość, że mąż miał drugą kobietę i że ta kobieta jest z mężem w ciąży, spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. W pierwszej chwili postanowiłam się roznieść, ale mąż okazywał mi tyle serca i tak bardzo przepraszał, że nie byłam w stanie go zostawić.

Matka tego mającego się urodzić dziecka prawdopodobnie nie wiedziała, że zaszła w ciążę z żonatym mężczyzną. Już przedtem dwóch mężczyzn ją skrzywdziło, sądziła, że ten trzeci zaopiekuje się nią i jej dziećmi. A tu okazało się, że rzeczywistość jest inna.

Zrozpaczona, usiłuje usunąć płód różnymi sposobami. Już jednak za późno. Podejmuje próbę popełnienia samobójstwa, odratowują ją. Ostatecznie w 1952 roku przychodzi na świat chłopiec...

Zabolało mnie, że tym, kto ją skrzywdził po raz trzeci, był mój mąż. Postanowiłam, że to jej wynagrodzę. Gdy jeszcze była w ciąży, przyrzekłam jej, że wezmę dziecko i wychowam, jak swoje. Mężowi jednak do ostatniej chwili o tym nie powiedziałam. W międzyczasie sama zaszłam w ciążę i gdy ten chłopiec się urodził, nosiłam płód cztery miesiące. Ale chłopca i tak wzięłam. Był bardzo mizerny i chory. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, ażeby żył i rósł.

Po pięciu miesiącach przyszedł na świat mój syn. Harowałam ciężko, ale nie załamywałam się, całą trójkę otaczałam jednakową opieką. Byli ludzie, którzy uważali mnie za nie nie wartą, bo się tak ponizyłam wobec męża. Byli jednak i tacy, którzy mnie ubóstwiali i dawali za wzór na zebraniach Ligi Kobiet.

Wraz z mężem i matką dziecka poszliśmy do sądu, ażeby dziecko całkiem na nas przypisać, to znaczy, abym ja oficjalnie figurowała jako matka, bo nazwisko męża dziecko miało. Okazało się, że musi być adopcja dziecka. Postanowiłam wówczas, że wychowam dziecko jak przybrana matka, a gdy dorośnie — wspólnie z mężem powiemy mu całą prawdę.

Tymczasem w 1964 roku mój mąż zginął śmiercią tragiczną. Otrzymując rentę rodzinną dla dzieci zostałam powiadomiona, że dziecko należy do drugiej matki, która ma prawo je zabrać, ponieważ ojciec nie żyje, a ja jestem osobą obcą.

Śmierć męża oraz utrata praw do dziecka, które mu przez 12 lat okazywałam tyle serca, doprowadziły mnie niemal do obłędu. Ostatecznie pojechałam do właściwej matki, przedstawiłam całą sprawę i powiedziałam, że w żadnym wypadku nie oddam jej dziecka, ponieważ traktuję je jak swoje, a dziecko nie przeżyje takich ciotów, jak śmierć ojca i rozłąka z bliską rodziną. Matka oświadczyła, że nigdy mi dziecka nie odbierze, ponieważ ja je wychowałam. Poprosiłam o odpowiednie pismo, sprawa została załatwiona, rentę mi przyznano.

trudnych chwilach. Przy dwudziestosiedmioletniej historii „Przyjaciółki” do której wpłynęło ponad 3 miliony (!) listów, nawet komputer miałby zapewne trudności ze zliczeniem wyrazów wdzięczności pod adresem redakcji.

P. Łuniewska i p. Zybert pracują już w „Przyjaciółce” ponad dwadzieścia lat. Trafiły tu zaraz po studiach i chyba dzisiaj nie wyobrażają sobie, że mogłyby znaleźć się w innym zespole.

— Jakich listów przychodzi najwięcej? — pytam.

— Dotyczących porad prawnych. Jest powszechna nieznanomość przepisów. Prawo pracy, prawo rodzinne, prawo spadkowe, prawo cywilne, prawo karne. Problem rent, zasiłków. Nawet w drobnych sprawach ludzie zwracają się do nas z prośbą o pomoc. Druga grupa, ale znacznie mniejsza, to listy na temat konfliktów rodzinnych, załamania psychicznych, albo takie, które można określić mianem „kulis serc”. Czytelnicy piszą o wszystkim. Są okresy, kiedy pewne tematy potęgują się. Na przykład po objęciu ludności wiejskiej bezpłatną opieką lekarską gwałtownie wzrosła liczba listów na tematy zdrowotne.

— Gdyby wlec przejrzeć listy, które pismo otrzymało w ciągu dwudziestu siedmiu lat swego istnienia, mielibyśmy najlepszy obraz życia przeciętnego Polaka? Jego smutków i radości?

— Chyba tak. Pamiętam, jak w 1948 roku, ciągle pojawiało się echo wojny. „Zginął mój mąż, straciłam syna, jestem już bardzo stara, bo mam 40 lat i nie widzę możliwości urządzenia sobie życia”. Albo: „Mam trzydzieści lat, przeżyłam już życie. Co robić?” Dzisiaj 60-letnia kobieta potrafi napisać: „Jestem pełna sił, chcę pracować, bawić się sama, a nie tylko bawić wnuki. Mój syn nie może mnie zrozumieć. Jak go przekonać, że nie czuję się staruszką?”

— Tak — wtrąca p. Zybert — dostaliśmy niedawno list od pewnej rencistki, która napisała, że radość życia odzyskała dopiero wówczas, kiedy zięć nauczył ją sztuki fotografowania i filmowania!

Ale echo wojny wraca i dzisiaj, po trzydziestu latach. W ostatnim czasie redakcja otrzymała ok. tysiąca listów, w których przewija się problem odszkodowań z tytułu różnych szkód i cierpień doznanych od Niemców w latach 1939—1945. Tragiczna to korespondencja:

...Jestem wdową, mam 76 lat. Miałam syna, który był moim jedynym żywicielem. Gdy Niemcy weszli do Polski, został zabrany na zakładnika. Wywieziono go na Majdanek i tam zamordowano...

...Miałam dziesięć lat, gdy w 1942 r. zostałam wraz z rodziną wysiedlona spod Zamościa. Moi rodzice znaleźli się w Oświęcimiu i tam zginęli. Mnie, jak i inne dzieci, a także starców, wywieziono do Łaskarzewca. Gdy wyzwolono Zamość, wróciłam do domu. Zaczęłam gospodarować na małym kawałku ziemi, ale w wyniku przeżyć wojennych ciągle choruję i muszę się leczyć...

...Byłam za okupacji zabrana do Niemiec na przymusowe roboty. Pracowałam pięć lat u gospodarza. Oskarżył mnie on, że politykuje. Siedziałam osiem miesięcy w więzieniu, byłam bita. Te lata odbiły się na moim zdrowiu...

...Mój mąż podczas wojny był wywieziony do Niemiec. Miał wówczas 13 lat. Zatrudniono go w zakładach stolarskich, gdzie uległ wypadkowi lewej ręki, ma odcięty palec wskazujący, co ujemnie wpływa teraz na wykonywanie wielu prac. Mąż może podać świadków wypadku...

...W 1940 r. zostałam wywieziona na roboty do Niemiec. W wypadku na warsztatach kolejowych



straciłam nogi. Podczas okupacji zginęła cała moja rodzina. Jestem sama...

W 1940 roku przyszedł do naszego domu niemiecka policja, aby aresztować ojca. Przestraszyłem się i nie potrafiłem szybko odpowiadać. Niemcy zaczęli mnie bić i kopać. Noga zaczęła mi puchnąć, utworzyła się ropa. Pół roku leżałem w gipsie. Noga została sztywna, cienka i krótsza. Operacje miałem czterokrotnie, w tym złutowanie kości. Dziś jestem schorowany i w dodatku kaleka...

Zaden list, nawet jeśli odpowiedź nie zawsze jest po myśli autorów, nie pozostaje bez odpowiedzi. Bywa, że dziennikarz jedzie na miejsce, aby zebrać dodatkowe informacje, bądź interweniować osobiście. W wielu sprawach redakcja porozumiewa się telefonicznie lub listownie z naczelnikami powiatów, miast i gromad, przedstawia problem, prosząc o jego dokładniejsze zbadanie i pozytywne załatwienie. Niektóre sygnały czytelników służą jako temat do opracowań publicystycznych, choć z uwagą na małą objętość pisma zaledwie dwa procent nadsyłanych listów w takiej czy innej formie znajduje odzwierciedlenie na jego łamach.

Co miesiąc redakcja sporządza na podstawie korespondencji specjalne tematyczne biuletyny, które przedstawia zainteresowanym: KC PZPR, CRZZ czy poszczególnym ministerstwom. Oto kilka problemów: kobiety niepełnosprawne w zatrudnieniu, służba zdrowia, opłaty za wczasy, dzieci umysłowo i fizycznie niedorozwinięte, handel wiejski, wychowanie domu dziecka. Zapewne dużą zasługą pisma jest, że zdołało ono zainteresować władze sprawą utworzenia funduszu alimentacyjnego. Ostatnio „Przyjaciółka” rozwija szeroką akcję: „Dom dla czterech tysięcy”. Nie chodzi tu o adopcję, ale o znalezienie właściwej opieki nad dziećmi wśród rodzin zastępczych. Okazało się, że jest wielu chętnych, gotowych służyć pomocą. Oto np. jeden z listów:

„Jesteśmy małżeństwem od piętnastu lat i własnych dzieci nie mamy, więc po głębszym namyśle zaadoptowaliśmy 2-miesięczną Romeczkę, która ku naszej radości urosła na piękną i mądrą dziewczynkę. Skończyła już cztery latka, jest dzieckiem bardzo inteligentnym i chce mieć dużo siostrzyczek. W październiku wzięliśmy więc w charakterze rodziny zastępczej drugą dziewczynkę, Dorotkę ma półtora roku, jest również bardzo kochaną córeczką, nie wyobrażamy sobie bez nich życia.

Teraz pragniemy jeszcze bardziej powiększyć naszą rodzinę, chcielibyśmy przyjąć do niej jeszcze cztery dziewczynki od trzech lat do pięciu lat. Warunki mamy dobre. Mieszkamy na wsi. Mąż jest konserwatorem budowlanym, zarabia 1700 zł, plus rodzinne, do tego świadczenia jak: mleko pełne 3 l dziennie, działka pod ziemniaki — 30 arów, ogród warzywny. Mamy domek jednorodzinny oraz duże

zabudowania gospodarcze. To wszystko bezpłatnie. Ja nigdzie nie pracuję. Zajmuję się naszymi pociechami oraz domem i inwentarzem żywym. Mam bardzo dużo czasu, który poświęcam na zabawę z dziećmi. Są one szczęśliwe, chcielibyśmy więc dalszej czułości stworzyć to ciepło domowe oraz rodzinną atmosferę, której tak bardzo pragnie każda sierotka wychowywana obecnie przez domy dziecka...

„Dom dla czterech tysięcy” to tylko jedna z akcji prowadzonych przez pismo. Dobry np. efekt przynosi konkurs „Sojusznicy dojeżdżających uczniów”. Chodzi o zorganizowanie dla dzieci dojazdów do szkół zbiorczych. Redakcja propaguje dobre inicjatywy.

W ubiegłych latach na konkurs zorganizowany z okazji XXV-lecia Polski Ludowej pt. „Dwa pokolenia” nadeszło ponad dwa tysiące odpowiedzi. Najciekawsze ukazały się w zbiorowym wydaniu „Książki i Wiedzy” — „Matka i córka”. Również dwa tysiące odpowiedzi wpłynęło na konkurs pt. „Jaka jestem”, w którym brały udział kobiety do lat trzydziestu.

— „Przyjaciółka” — słyszę z ust p. Luniewskiej — wychodzi od 27 lat, ale czytają ją trzy, a właściwie i cztery pokolenia. Otrzymałam np. list od jednej czytelniczki, która pisze, że babcia i matka ukrywały przed nią pismo, kiedy miała dziesięć lat, a dzisiaj już i jej córka, również dziesięcioletnia, sięga po tygodnik.

Matka i córka... Są piękne przykłady wzajemnej miłości. Ale zdarzają się i listy bardzo smutne:

„Córka starsza skończyła filologię i wyszła za mąż. Nie miałam nic przeciwko jej chłopcu, wy-dawało mi się, że jest spokojny, nie lubił alkoholu. Gdy się pobrali, nie mieli mieszkania, prosili, czy tymczasem nie mogłabym zamieszkać u mnie, zanim nie dostaną lokum ze spółdzielni. Mija czwarty rok, zięć wcale nie stara się o mieszkanie. Ale jeszcze nie w tym problem. Przyszło na świat dziecko, śliczna wnusia, którą bardzo kochamy; ja i moi rodzice, pradiadkowie malej. Mojej córki i zięcia nie obchodzi: ani opłata za mieszkanie, chociaż mają oddzielny pokój, ani gaz, ani za światło, nie pytają nigdy, czy mogą wyjść, a wychodzą prawie co dzień, bo są młodzi. Nie pytają też, czy ja mogę, czy nie zostaje z dzieckiem. Ojciec mój jest na rencie, dziecko ma już trzeci rok, ani razu nie było w żłobku, bo pradiadek je wybawił. Na utrzymanie wnuczki nie dostają ani grosza. Jej rodzice nigdy nawet nie dadzą paczki papierosów dla pradiadunia. W dodatku nie sprzątają, bałagania, na zimę nie kupili nawet kilograma węgla. Ja, biedna kobieta, chora, bo noszę gorset, muszę ciężko pracować i do nich, młodych, dokładać i za to nigdy nie słyszałam słowa „dziękuję”. Ja nie jestem kształcona, nawet do polskiej szkoły nie

chodziłam, ale nigdy bym tak nie zrobiła. I jeszcze przeraża mnie, że córka i zięć są nauczycielami. Czego się od nich dzieci mogą nauczyć?

Rzeczywiście — czego?

Można cytować w nieskończoność...

„Przyjaciółka”: 1800 000 egzemplarzy nakładu (w tym 600 tys. mutacja dla wsi), a mimo to sprzedawana spod lada, niejednokrotnie (choć z tym dyrekcją „Ruch” walczy) metodą wiazaną („Sprzedam pani „Przyjaciółkę”, jeśli pani weźmie ... „Kobietę i Zycie” — oczywiście to mój dowcip, bo z kupnem tego drugiego tygodnika też są kłopoty). Minimalna cena — jeden złoty za egzemplarz (na bazarze kosztuje i pięć złotych). Trudności papierowe, trudności wydawnicze („Przyjaciółkę” drukują dwa zakłady poligraficzne) nie pozwalają na pełne nasycenie rynku. Rozeszłyby się zapewne i trzy miliony. Żadne pismo w Polsce nie ma takiego nakładu. Żadne pismo nie otrzymuje takiej lawiny listów. Fenomen czytelnicy!

Jaka jest tajemnica sukcesów?

P. Barbara Moroz jest w historii pisma czwartą red. nac., kieruje piśmie niemal trzy miesiące, poprzednio była zastępcą redaktora naczelnego studenckiego tygodnika „Itd”. Myślę, że ten zastrzyk młodej krwi powinien „Przyjaciółce” wyjść na zdrowie, zwłaszcza, że inicjatywy nowej red. nac. (poszerzenie działu listów) budzą zainteresowanie. Zapewne potrafi ona dobrze zgrać się z 80-osobowym zespołem, w którym 90 proc. stanowią kobiety. O czym marzy? Jak się należało spodziewać: o lepszej szacie graficznej, lepszym papierze.

— Badania wykazały — mówi — że czytelniczka „Przyjaciółki” to przeważnie osoba młoda, lub w średnim wieku, z wykształceniem podstawowym, lub nawet, niestety, niepełnym podstawowym. Bywa, że „Przyjaciółka” jest dla niej niekiedy jedyną lekturą. Czy pan zdaje sobie sprawę, jakie to nakłada na redakcję obowiązki? Jak trudno tego typu pismo wyprofilować?

Ba! Ale przecież wśród czytelniczek (fakt!) nie brak i kobiet ze średnim, a nawet i wyższym wykształceniem. To jeszcze zaostrza trudności w redagowaniu.

Jaka jest jednak tajemnica sukcesów? Odpowiedź na to pytanie warta jest napisania pracy doktorskiej. Byłaby na pewno bardziej pożyteczna od tych w rodzaju „Gra w palanta, a sprawa polska”. I nie tylko tych. Kto stworzył przewód? Gdyby był profesorem, zaproponowałby swą kandydaturę na promotora.

Kochajmy „Przyjaciółkę”! I miejmy dla niej należny szacunek! Za trzy lata wkroczy w wiek balzakowski...

RABKA jest uzdrowiskiem ogólnopolskim, zwłaszcza dla dzieci — to nie ulega wątpliwości. Natomiast czy w przyszłości nieoczekiwanie stanie się jak marza o tym miejscu władze uzdrowiskiem o sławie międzynarodowej — można wątpić. Zbyt wiele bowiem nagradziło się zaletami, aby można było w krótkim czasie je nadrobić. Sława międzynarodowa to rzecz kusząca i dająca profit, ale samo piękno przyrody i lecznicze wody, jedne z najsiłniejszych w Europie solanki lodowo-bromowe, nie wystarczą. Potrzebne są jeszcze dwie rzeczy: trze-czywiście czyste powietrze i prawidłowe zagospodarowanie miasta, które już dzisiaj liczy 11 tysięcy stałych mieszkańców, a w sezonie drugie tyle kura-cjuszy, wczasowiczów i turystów.

Uzdrowisko słusznie chwaliło się przez wiele lat idealnie czystym powietrzem, które znakomicie pomagało, a właściwie nawet samo leczyło różne schorzenia płuc i dróg oddechowych. Wraz z do-datkami 33 proc. powierzchni samej Rabki i najbliższych okolic to piękne lasy, chociaż przed różnymi przeciwnościami nie ostała się już ani jedna łódka. Ale coraz większym zagrożeniem stała się coraz bardziej gęstniejące dymy z nie-ców wełnowych.

Na dole, w uzdrowisku i w mieście, prawie tego nie widać. Ale gdy w słoneczny dzień widać się na jedno z okolicznych wzgórz — Grzebień, Maciejowa Luboń Wielki czy Turhacz — oczom nie chce się wierzyć. Nad całą doliną zalega sino-szary smog. Nieru-chomy, ponury zastłany ciągły z tysięcy kominów oraz kilku lokomotyw, które bez przerwy uwijają się na dużym dworcu sąsiedniej położonej w tej samej do-line, Chabówki.

O doborze gazu ziemnego mówi się od lat, ale inwestycja bardzo kosztowna i nie wiadomo, kiedy stanie się aktualna. Przez jakiś czas myślano o gwie plynym, ale Rabka tak do niego zdolała sobie wywalczyć przydziałów tego deficytowego węgla artykulu, co zresztą rozstrzygałoby sprawę kuchni, ale nie opalania. Mówi się wciąż ostatnio o takiej przebudowie sieci energetycznej, aby generalnie w całym mieście wprowadzić ogrzewanie akumulacyjne, chociaż ze względu na podgórski klimat musiałoby ono być bardziej intensywne niż normalnie. Konkretnych planów widać jednak nie ma.

Drugim wielkim mankamentem miasta jest to, że doniośle w sferoniu ub. roku otrzymało ono ołowiany plan oddolny zagospodarowania przetranszowanego. Przy-najmniej o dwadzieścia lat za późno — przetranszował naczelnik miasta, mgr. Ta-deusz Klimiński. Jakże tego za skutki, nie trudno sobie wyobrazić. Zwłaszcza, że rozwojem na różne lokalizacje roz-wiały urbanistyczny miasta i kształt ar-chitektoniczny budynków wywodziły w latach ubiegłych cztery instancje lokalne, powiatowe, wojewódzkie i centralne. W tym rozgardzaniu dochodziły też do

głosu różne powiązania personalne, naci-ki zasobnych w finanse potentatów owocowały na korzyść jednostek ze szkoda dla ogółu.

Wystarczy zresztą pospacerować nieco dalej od samego uzdrowiska i parku zdrojowego, aby zobaczyć, jak bardzo skutecznie popsuło i urbanistykę i ar-chitekturę tej urokliwej kładki miejscowości. Na małych działkach, całkiem dowolnie krojonych, nupychano kola-nami malutkie domeczki obok piętro-

mieszkanlowe, to w połowie domki jed-no- czy dwurodzinne, w połowie wielo-rodzinne.

— Założona wielkość docelowa Rabki będzie chyba trudna do utrzymania. Przecież bardzo wielu ludzi z różnych stron Polski kupiło tu działki i wybu-dowało domki tylko po to, aby pro-wadzić małe domy wypoczynkowe czy sanatoria dla dzieci. Przynajmniej w co trzecim domku funkcjonuje coś ta-kiego.



Jerzy Dostatni

wych willi. Wiele z tych budynków to eksponaty na wystawę brzydoty. Ulice trudno nazwać ulicami, najczęściej nie mają też chodników a „jezdnie” to dziwacznie pokrecone między działkami drogi polne, niemal nie do przebrnięcia w czasie letowych — i nie tylko leto-wych — roztopów.

Na szczęście plan ogólny już jest, szczegółowo opracowuje się i należy mieć nadzieję, że dalszy rozwój tej miejscowości będzie już prawidłowy, chociaż błędów przeszłości nie da się już naprawić przynajmniej w najbliższej przyszłości. O tym planie mówi naczelnik miasta:

— Obecnie na teren o powierzchni 3618 ha, a więc i najbliższą okolicę. Wielkość docelowa Rabki w roku 1990 określono na 15 tys. stałych mieszkań-ców, w sanatoriach i zakładach leczni-czych 4000 łózek dla dzieci, bo to pod-stawowa funkcja naszego uzdrowiska, oraz 1500 dla dorosłych. A więc dwa razy więcej niż obecnie. Z zabudowy włączono całkowicie tereny Bani oraz stoki Grzebień. Całe zaplecze technicz-no-gospodarcze sanatoriów, znajduje się poza granicami Rabki. Równocześnie wprowadziliśmy zakaz budowy takich-kołwek pomniejszych tymczasowych, a także zakaz remontów kapitalnych tych wszystkich obiektów, które już istnieją, ale nie są zgodne z planem. Domy wy-poczynkowe urzyskają lokalizację tylko w jednym rejonie. Nowe budownictwo

— Według przepisów każdy może wy-najmować tu przez cały rok dwa po-koje, a w sezonie trzy, ponadto wy-dawać do 30 posiłków dziennie. I to za-nawet nie podlega rejestracji. Ale teraz już nikt działki nie kupi, aby robić na tym interes. Po prostu jeżeli chcący nie będzie potrzebny w funkcji uzdro-wiskowej, władza skorzysta z prawa pierwokupu.

— Czy nie uważa pan naczelnik, że niektóre przepisy, słuszne jeżeli chodzi o rynek miasta czy gminy, nie zdają egzaminu w takich nietypowych mie-scowościach, jak Rabka? Wystarczy spoj-rzeć przez okno na osiedle im. Orkana, wzór architektonicznej brzydoty, na który natyka się każdy przyjeżdżający tutaj koleją, autobusem czy samocho-dem?

— Wszyscy się teraz za to osiedle ru-mienia, ale winnego — oczywiście — nie ma. Osobiście od półtora roku wojuję, aby to chociaż w części naprawić, ale jak dotąd bez skutku. Wkrótce po ob-jęciu urzędu wystąpiłem z dużym me-moriałem na temat uzdrowiska, ale od półtora roku nie otrzymałem od nikogo żadnej odpowiedzi. Nawet nie wiem, gdzie ten memoriał utknął — w Nowym Targu, Krakowie czy Warszawie.

— Czy mógłbym go przeczytać?

— Lepiej nie... Może ja rzeczywiście nie miałem racji?

Tyle, jeżeli chodzi o najważniejsze problemy Rabki. Kolej na drobniejsze sprostowania.

Przed wszystkim uznanie dla dosko-nalego zaopatrzenia. Zarówno jeżeli chodzi o artykuły spożywcze, jak ozież, buty czy artykuły gospodarstwa domo-wego. Sklepowi dość dużo, wśród ekspe-dientek nie...al całkowity brak śniących królewien.

Park zdrojowy duży i piękny, z foto-grafii widać, że wiosną i latem pełno tu kwiatów. Teraz zimą lodowisko w parku nieczynne bo zamiast lodu wi-dać trawę. Dwie ruje i trzy czarne wie-wiórki całkiem oswojone co wywołuje niekłamany entuzjazm wśród najmłod-szych, kolejno zapuszczają się pod drzwi pobliskiej cukierni i z powo-dzeniem dopominają się o kawałki ciastek.

Białe niedźwiedź, towarzyszący foto-grafowi, okropnie wyleniwy i z wyla-manymi zębami. Chyba dlatego niektó-re dzieci nie chcą się z nim fotogra-fować, nawet gdy spod futra dobywa się zachęcający głos współnika fotogra-fowania.

Kolega Turbański z „Kurieru Lubel-skiego” miałby tu używanie. Na ul. Or-kana na samym środku stromej pod-jazd — zakaz jazdy. Gdy się zatrzyma-łem, po resztkach lodu zjechałem ty-lem niemal na samo najruchliwsze skrzyżowanie. Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej zamiast ooc-nywać jezdnie i chodniki w czasie mro-zów, postawiło tablicę: „Uwaga! Ślisko jezdnie i chodniki”. I uważa się za roz-strzeżone.

Muzeum im. Wł. Orkana, mieszczące się w zabytkowym, drewnianym kościół-ku, bardzo ubożuchne, nawet w naj-większe mrozy nie opalane. Wszystkie-go zajmuje około 40 m kwadr.; reszta kościółka pusta i niezczepa. Naocznie nowa hala gimnastyczna, doskonale opa-lana.

Na skraju parku zdrojowego sensacja, chyba jedyny wypadek w Polsce: na sanatorium kardiologicznym dwukoloro-wo neon z półtorametrowymi literami: „Kardiologia” — i obok jeszcze większe serce z literką „R”.

W roku 1883 rząd austriacki zaswał źródła wód mineralnych, a przy reszt-kach postawił uzbrojonych strażników, a — nikt nie nabierał wody. Na począt-ku roku 1971 najabnie wód po prostu zamknięto na klucz. Ale strażników nie ma.

Akcja rozgrywa się w 1940 roku. Jerzy F. wkrótce kończy 13 lat. Na razie po ucieczce w styczniu 1939 r. z domu kontynuuje podróż na gapę.

POZOSTAŁEM znów samotny, a pociąg, tak jak uprzednio, rytmicznie wybijał na szynach takty jakiejś melodii. Było mi bardzo markotno. W Taszkencie zabawiłem krótko, pędziłem dalej do Aszchabadu. Wszędzie, gdzie tylko okiem sięgnąć, ciągnęły się same pustynie, tylko od czasu do czasu widać było jakąś osadę. Ludzie chodzili ubrani kolorowo, a starsi mężczyźni na głowach mieli coś w rodzaju turbanów lub małe okrągłe czapki, wyszywane w różne kolorowe desenie. Wszędzie spotkać można było objuczone osiołki.

Przedtem dokuczalo zimno, a teraz słońce parzyło niemiłosiernie.

W Aszchabadzie w chwili wylazenia spod wagonu zostałem schwytyany przez milicjanta, który odprowadził mnie do komisariatu.

Byłem tak tym zajęciem przestraszony, że drżałem i nie mogłem odpowiadać na pytania. Kiedy zauważyłem, że obchodzą się ze mną grzecznie, a nawet dostawałem placzek z kawałkiem mięsa, zacząłem opowiadać o swoich podróżach, kłamałem zresztą jak mogłem, o Kati też przemilczałem.

Z komisariatu odwieziono mnie do domu poprawczego, który mieścił się na przedmieściach Aszchabadu. Wartownik zaprowadził mnie do kancelarii, tutaj jeszcze raz spisano wszystkie moje personalia, następnie zostałem ostrzyżony i umyty. W sali, do której mnie wprowadził przełożony, było około pięćdziesięciu chłopaków w moim i w starszym wieku. Kiedy drzwi zamknę-

przeszedłem do nocy, a później zacząłem szukać stacji.

W sierpniu 1940 r. znalazłem się w Tarnopolu. Wędrowałem kilka dni pieszo do Złoczowa, a ze Złoczowa, znaną mi już drogą, do Podhorzec i Podkamienia. W tych stronach nie miałem trudności z jedzeniem i spaniem. Wszędzie, do kogo zaszedłem, to byli znajomi mego ojca, lub też dalsza rodzina. Krok za krokiem z bijącym sercem zbliżyłem się do rodzinnego miasteczka Brody. Tędy w styczniu 1939 r. wędrowałem w odwrotnym kierunku, uciekając z domu.

Pierwsze swoje kroki skierowałem do domu przy ul. Parafialnej. Ku memu zdziwieniu dom stał pusty i zabity deskami. Idąc ulicami starałem się rozpoznać kogoś z kolegów, ale i tutaj nie miałem szczęścia. Skierowałem się na ulicę Złotą: była to główna ulica, na której zawsze panował duży ruch.

Szczęśliwym trafem natknąłem się na dobrego koleżkę szkolnego, z którym serdecznie się przywitałem i on wskazał mi dom, w którym mieszkali moi rodzice. Długo kołowałem i nie miałem odwagi wejść do środka, i nie wszedłem.

Udałem się do ciotki, która mieszkała na tej samej ulicy, podszedłem do furtki zabudowania, widziałem, jak wujek krzątał się po podwórzu, a ten sam pies siedział sobie spokojnie koło budy i merdał ogonem. Czyżby mnie poznał?

Tutaj również nie miałem odwagi wejść na podwórze, dopiero wujek, idąc po schodkach do domu, stanął na nich i zaczął mi się przyglądać. Trwało to chwilę, wujek zszedł ze schodków i zbliżył się do furtki. „Janku! a niech cię skąd się wzięłeś?” Wujek otworzył furtkę, a ja wpadłem w jego ramiona ze łzami w oczach. Ciotka na mój widok też rozplakała się. Było to już wieczorem,

PAMIĘTNIK

GLOBTROTERA (3)

ly się za przełożonym, zostałem okrążony przez chłopaków, a największy z nich i widocznie najstarszy zaczął zadawać mi różne pytania. Odpowiedziałem im, że pochodzę z Polski i po prostu wędruję przez świat.

Chłopcy uwierzyli, bo mój język rosyjski był jeszcze nie całkiem wyszlifowany. Musiałem udowodnić również swoje pochodzenie mową polską. Ten najstarszy wskazał mi łóżko i powiedział, że tutaj jest moje miejsce do spania.

Na tej kwarantannie byłem kilka dni, później przeniesiono mnie na inną salę. Była większa od tamtej. Jak wszedłem, to wszyscy już wiedzieli, że jestem Polakiem.

W domu poprawczym karmiono nas nieźle, mogliśmy przez kilka godzin przebywać na powietrzu.

Pewnego wieczoru zrobiono na sali naradę, kilku chłopaków przedstawiło plan ucieczki.

Wszystko odbywało się jak na filmie, wokół panowała cisza, a strażnik spokojnie drzemał w kantorku przy bramie. Udało się.

Tym razem nie wybierałem środka lokomocji, skoczyłem na wagon towarowy wiozący piasek.

Po wielu przygodach dotarłem w lipcu 1940 roku do Moskwy, a z Moskwy po kilku dniach pędziłem już do Kijowa. Aszchabad nauczył mnie wielu rzeczy: byłem teraz na każdym kroku czujny, a ponieważ znałem sposoby zdobywania żywności i pieniędzy byłem silny i zdrowy, jedynie przejazdy były dla mnie bardzo męczące.

Najbardziej nie odpowiadały mi duże miasta, ponieważ na peronach trudno było wśliznąć się niezauważonym pod pociąg. Dlatego na dużych stacjach musiałem stale mieć się na baczności.

W Kijowie na stacji wylazłem prawie pod nogi milicjantowi, więc szybko wycofałem się pod wagon na drugą stronę peronu i skoczyłem do ruszającego już pociągu. Tyle widziałem Kijów. Straciłem orientację i nie wiedziałem dokąd teraz jada, a w wagonie obawiałem się kogokolwiek o to pytać. Cały czas uważałem na konduktora. Nie pamiętam dokładnie, jak długo trwała moja jazda w chowanym. Wiem, że dojechałem do Winnicy i tutaj zostałem zatrzymany przez milicję.

Tak jak w Aszchabadzie odesłano mnie do domu poprawczego. Teraz dobrze wiedziałem, w jaki sposób mam się witać i jak odpowiadać na pytania, ale do tego tutaj nie doszło. Było mało chłopaków i całkiem inny nastrój. Dowiedziałem się, że raz w tygodniu chodzą na miasto do kina i na różne wycieczki. Byłem przygotowany, aby przy takiej okazji zerwać się i kontynuować swoją dalszą podróż. Tym razem miałem cel wyznaczony: chciałem wrócić do domu.

Po kilkudniowym odpoczynku zabrano mnie razem z całą grupą na przedchodkę. Tutaj, czekając tylko sposobnej chwili, przygotowywałem się do ucieczki. W parku dałem drapak. Na ustroniu

ciotka podgrzała pierogi z kapusty, a wujek przyniósł fiaskę samogonu, pijąc za mój powrót. Ja również wypięta mały kieliszek i wyskoczyłem na podwórze do swego Para. Był to duży kudłaty pies nieznaney mi rasy. Tego psa ja sam chowałem od małego, a później, jak go wujek przywiązał do budy, to codziennie przychodziłem do niego, zdejmowałem z łańcucha i biegaliśmy po podwórzu i na pobliskiej łące. Teraz, kiedy podchodziłem do Para, łyż potoczyły mi się po policzkach na widok starego przyjaciela. Odpiąłem starym zwyczajem łańcuch, głaszcząc i pieszcząc skomlącego i łaszącego się psa.

Wujek wyszedł na podwórze i opowiedział mi, że jak ja zaginałem, to Par długo nie jadł, a raz, jak go spuścił z łańcucha, to dwa dni go nie było, przyszedł sam i długo leżał w budzie.

Opowiedziałem ciotce i wujkowi, że byłem koło domu, lecz bardzo się zastanawiałem, czy mam wejść, czy też nie i nie wszedłem.

„Chodź, pójdziemy do ciebie, chłopcze, czy ty wiesz, jak strasznie ojciec rozpaczal? Do dnia dzisiejszego chodzi oswiały i jeszcze więcej pije niż uprzednio. Ojciec cię szukał wszędzie, gdzie tylko mógł, a ty zniknąłeś jak kamfora. Chodź, idziemy!” — ponaglał wujek. „Wpadnij do nas jutro na odchodne” — zagadnęła ciotka.

W oknach było widać, że ktoś jest w domu, bo się paliło światło. Wujek otworzył furtkę i weszliśmy na obszerne podwórze, zapukał do drzwi, jakiś pies zaczął w środku szczekać. „Zapomniałem ci powiedzieć, Janku, że masz pieska w domu, a raczej suczkę nazywa się Muszka!” Czekałiśmy dość spora chwilę pod drzwiami, wreszcie usłyszaliśmy znajomy mi głos. Ciarki poszły po mnie, a łyż zakręciły się w oczach, była to moja matka.

Wujek wszedł pierwszy, a ja stanąłem w otwartych drzwiach i patrzyłem na twarz matki, wreszcie padliśmy sobie w objęcia. Matka ze znanej sobie skrytki wyciągnęła fiaskę z samogonem, nalala wujkowi, mnie i sobie po kieliszku, a resztę schowała. Ojciec powrócił do domu późnym wieczorem, a raczej został przywleczony przez swoich znajomych. Położyliśmy go na łóżku a matka pościeliła mi na otomanie, która stała w kuchni. Muszka długo kręciła się koło otomany obwachując mnie, lekko chciałem ją pogłaskać, to się cofała szczerząc białe, ostre kły.

Po tej całej historii usnąłem, a rano jak się obudziłem, to wyczułem nogą ciepły kłębek w moich nogach. Była to Muszka. Matka krzątała się w kuchni przygotowując śniadanie. Kiedy wszedł ojciec, Muszka zeskoczyła z otomany i szybko gdzieś się schowała. Ojciec podszedł, uściśnął mnie i zapytał: „Gdzie byłś synu?”

W skrótach opowiedziałem mu o swoich podróżach.

Zycie w domu ciągnęło się monotoniście, ojciec, tak jak dawniej, często się awanturował. Patrzyłem na to wszystko ze zgrozą. Aż pewnego dnia, kiedy byłem z ojcem sam na sam, powiedziałem mu: „Ojciec, jeżeli nadal będą w domu takie awantury i znęcanie się po pijanemu nad matką,

będę zmuszony raz na zawsze opuścić ten dom i w ogóle opuścić te strony. Raz dałem ci już tego dowód. Więc proszę cię, uspokój się!”

Ojciec mój, kiedy był trzeźwy, był bardzo dobrym człowiekiem, lecz wódka czyniła zeń szata-
na

„Odparkł mi tylko w dwóch słowach: „Dobrze! Spróbuj!” Od tej pory przez dłuższy czas był spokojny, wszyscy byli zadowoleni i Muszka już nie chowała się przed powrotem do domu ojca. Wiechdzałem, że ojciec pije nadal, lecz robi to skrycie, a do domu starał się przychodzić trzeźwy.

Teraz często odwiedzałem swoich dawnych kumpi, a najczęściej przebywałem u ciotki, której pomagałem w gospodarstwie. Muszka zabierałem często ze sobą i zaprzyjaźniłem ją z Parem.

Przyszła zima, ojciec mój furmanił tak jak za starych czasów. Na święta przywieźliśmy sporo ilości choinek z lasu. Najbardziej lubilem stroić choinkę, więc nie mogłem doczekać się tego dnia. Przygotowywałem z kolorowego papieru łańcuszki i gwiazdki na choinkę. Matka wyciągnęła pudełko, w których poznałem dawne cacka choinkowe.

Kilka dni przed świętami pomagałem ojcu w pędzeniu bimbru z żyta i mroźnych ziemniaków. Zrobiliśmy dobry bimber. Matka napięła różności, a ojciec przywiózł sporo różnych wędlin.

Na święta zjechały się całe rodziny, a na drugi dzień myśmy udali się do nich. Jak za dawnych czasów, chodziłem z kołędnikami. Życie moje w domu nabierało uroku.

W czerwcu 1941 r. nadeszła jednak wojna, wszędzie zadrżała ziemia. Ludzie z tobołkami i dziećmi chronili się po pustkowiach i lasach. Trwało to wszystko krótko, grzmoty wojny coraz bardziej oddalały się na wschód. Zapanowała cisza, ale i ona wkrótce została zmacona warkotem czołgów, samochodów i innych pojazdów, które wtargnęły do naszego miasteczka. Potem znów nastąpiła cisza i wreszcie słychać było rytmiczny marsz wojska. Zjawili się Niemcy. Na sam widok tego, co przeszło i co ciągle szło, włosy stawały mi dęba na głowie. Wprowadzono godzinę policyjną.

Ludzie jak ludzie, zaczęli handlować, pędzić bimber, wszystko robić na przekór. Ja chwytalem konie, których wszędzie było pełno. Za konia brałem pół dobrej świni, tak więc długo żyliśmy w dostatku. Niemcy zrobili nagonkę na Żydów, zabijali ich tam gdzie ich tylko znaleźli.

W 1943 r. zostałem wraz z wieloma innymi mieszkańcami naszego miasteczka schwytyany w czasie łapanki. Odprowadzono nas na plac magistracki, a stąd, jeszcze w tym samym dniu zafadowano na wagony i wywieziono do Niemiec.

Znalazłem się w dużej szkole koło Wütsburga. Tutaj czyściłem uczniom buty, pomagałem w ogrodzie i karmiłem króliki. Nie wolno mi się było oddalać, na kłapie marynarki nosiłem literę „P”.

Udało mi się jednak dać drapak. Przez prawie miesiąc jechałem do Polski. Na wagony towarowe wskakiwałem w drodze. O kierunku dowiadywałem się zawsze od swoich rodaków, których pełno było na różnych robotach. Oni też dostarczali mi żywności. Bywało i tak, że przez kilka dni nie miałem nic w ustach. Pod koniec czerwca 1943 r. znowu uściśkałem swych rodziców i znajomych.

W lipcu straciłem ojca: w czasie swego furmanienia został on zabity w lesie przez jakąś bandę. Mówiono mi, że to nacjonaliści ukraińscy go zabili, gdyż był Polakiem. Zastanawiałem się, dlaczego tak uczynili. Przecież mój ojciec urodził się w tych stronach i wszędzie miał dobrych znajomych. Wujek mój, chociaż sam był Ukraińcem, wyjaśnił mi, że nacjonaliści ukraińscy występują się Niemcom, ale Niemcy i tak ich wykiwają.

Nie mogłem zrozumieć całej tej polityki.

Pod koniec lipca hitlerowcy złapali mnie ponownie. Tym razem zawieźli mnie do Austrii, do Gratzu. Tutaj mnie i moich towarzyszy rozdzielono po gospodarstwach rolnych. Trafiliem do grubego Austriaka, u którego już pracował jeden Polak. Ten Polak powiedział mi, że dostałem się w bardzo złe ręce. Faktycznie, „mój” Austriak był paskudnym typem. Gdy wrzeszczał, to całe podgardle trzęsło mu się pod brodą. Raz zdeptał mnie kijem przez plecy, bo nie rozumiałem o co mu chodzi.

Postanowiłem uciekać. W tym celu zacząłem gromadzić wiadomości o granicy austriacko-węgierskiej. Na początku listopada 1943, a było to na pewno w niedzielę, bo w niedzielę mieliśmy wolne i można nam było odwiedzać innych rodaków, postanowiłem wykorzystać okazję.

Skierowałem się w stronę granicy węgierskiej. Cały dzień błądziłem po górach, lecz nie spuszczałem z oka tego szczytu, koło którego ciągnęła się granica. Na noc zatrzymałem się w jakiejś budzie. Była to widocznie buda jakiegoś hodowcy owiec, ponieważ serów było tutaj pełno na półkach.

Tak więc nie tylko miałem dobrą ucztę, zacząć się serami, ale i doskonale się wyspałem. Za poduszkę służył mi krzątek sera.

Słońce już było wysoko, gdy zacząłem swoją dalszą wspinaczkę, mając pod pachą krzątek sera. Musiałem dawać baczenie na wszystkie strony, bo tutaj już gdzieś w pobliżu prowadziła granica. Krzątek sera utrudniał mi wspinaczkę, więc zjadłem go kawałek, a resztę pozostawiłem na kamieniu. Pamiętam, że gdy spuszczałem się w dół po stromej górze, kilku obcych żołnierzy wyskoczyło z bronią skierowaną do mnie i coś zaczęli krzyzczeć w nieznanym mi języku. Była to graniczna straż węgierska.

Dalszy ciąg nastąpi

ZIEMIA I PIEŚŃ

ROK XI

MARZEC 1975

NR 31

DZIEN KOBIEC jest szczególną okazją do zmanifestowania naszych uczuć miłości i głębokiej wdzięczności oraz szczerego szacunku dla najwspanialszych i najbliższych towarzyszek życia — matek, żon, dziewcząt. Pamiętamy zresztą nie tylko o nich, żywych, usiłujemy również przypomnieć sobie nazwiska i zasługi tych kobiet, które już odeszły, ale pozostawiły po sobie trwałe ślady.

Rok bieżący jest jednakże wyjątkowy, obchodzimy bowiem to święto właściwie codziennie z racji proklamowania go Międzynarodowym Rokiem Kobiet. Fakt ten spowodował istną lawinę artykułów, audycji, utworów i imprez dedykowanych kobietom i chyba trudno się dziwić, że nie zabrakło tu i ludowych poetów, dla których kobiety zawsze stanowiły jeden z najbardziej popularnych motywów w ich twórczości.

Nie da się ukryć, że kobieta wiejska, szczególnie w przeszłości, musiała dźwigać ciężar pracy w gospodarstwie na równi z mężczyzną, zaś w wielu przypadkach obowiązki jej bywały z pewnością znacznie większe. A przecież zawsze, obok pracy na roli, dochodziła troska o dom, o codzienny posiłek, wychowanie dzieci, czystość, inwentarz, a choćby nawet i stworzenie atmosfery rodzinnej, służenie radą i pomocą

na każdym kroku. Tego się nie zapomina i dlatego centralną postacią we współczesnej literaturze chłopskiej jest matka, po niej żona, Święto matki — jak pisze Maria Kozaczkowa —

...jest w porze kwitnących kasztanów
i bżów pachnących,
tak pięknych, jak jej uśmiech
i kochające serce...

JAK PIEŚŃ...

Poetka, sama będąc matką siedmiorga dzieci, doskonale rozumie sytuację, kiedy synowie i córki jak ptaki wyfruną z rodzinnego gniazda, a wówczas —

...więcej w nim leż
nie skarżonych nikomu
niż deszczu z dziurawego
dachu...

A jednak właśnie matka, chociaż samotna, pozostaje wierna chacie i ziemi ojców, jak pisze Elżbieta Daniszewska:

Zostałaś sama, wiekiem
pochylona,
wierna swej ziemi i rodzinnej
chacie,
w przeszłości swojej drzemiesz
zatopiona,

gardząc wszelkimi wygodami
świata.

Matczyna miłość w opinii ludowych poetów nigdy nie jest jednak ślepa, zawsze idzie w parze z typowym chłopskim rozsądkiem i szczerym patriotyzmem. To wiejska Nike wyparła się własnego dziecka, aby Niemcy nie wpadli na ślad partyzanckiego oddziału. To jej odda hołd Maria Kozaczkowa w wierszu pt. „Matka partyzanta”, nazywając ją „Matką Bolesną naszych czasów”. W innym natomiast wierszu pt. „Dom i rodzina” tak oto ocenia rolę kobiety:

Dom i rodzina — ziemia
i chleb
I twarz wzruszona w kwiatach,
Uścisk i dobroć, miłość, jak
pieśń —

To sens Twojego świata.
Marii Kozaczkowej wtóruje Walenty Jarecki, gdy w wierszu pt. „Dłoń” pisze o tym, czego uczą matki czy żona:

poznać pracę
odczytać miłość
nakryć wóbelka

Wraz z wyrazami szczerych uczuć od mężczyzn w dniu 8 marca jeszcze raz oddajmy głos Marii Kozaczkowej:

Kwiatów zabraknie i słów
za mało,
Jakie w dzisiejsze święto
W uznaniu zasług dać należało
Polskim kobietom...

Roman Rosiak



Fot. J. Miroslaw

Nie tylko mężczyźni

SPOŚRÓD 703 członków Stowarzyszenia Twórców Ludowych już tylko 148 twórców zajmuje się pisaniem, stanowi to około 20 proc. ogółu. Napływ nowych artystów chłopskich, reprezentujących plastykę, jest bez porównania bardziej dynamiczny niż pisarzy. Godne zauważenia jest jednakże i to, że wśród piszących aż trzecią część (48 osób) stanowią kobiety.

Ciekawie przedstawia się ich członkostwo z „geograficznego punktu widzenia”: reprezentują one 10 województw, przy czym zdecydowany prym wie dzie województwo lubelskie — 17 kobiet (około 33 proc.), dalej — krakowskie — 9, kieleckie — 7, rzeszowskie — 4, białostockie — 3, warszawskie i bydgoskie — po 2 oraz katowickie, olsztyńskie i opolskie — po 1. Brak natomiast reprezentantek aż z 7 województw.

Jeśli chodzi o wiek — przeciętna jest dość wysoka i wynosi 58,3 lat. Najmłodsza poetka liczy 34 lata, najstarsza — 88. Kobiet piszących w STL jest w wieku do lat 40 — tylko 2.



Fot. L. Leo

Bronisław Pietrak

JAK TO ADAM W RAJU ZGRZESZYŁ

Gdy stworzył Pan Bóg Raj dla ludzi,
A w nim zwierzęta, kwiaty, drzewa,
Lecz Adam z tego się nie cieszył,
Bo dokuczala mu wciąż Ewa.

Ciągle mu tylko marudziła,
Wiadomo, jak to zwykle baba,
Ze apetytu wcale nie ma,
To znowu, że jest strasznie słaba.

Ze miała te dolegliwości,
Ja się nie dziwię temu wcale,
Bo ona była przecież młoda,
A Adam styrał już kawaler.

Raz, kiedy siedział zadumany,
Rzeka do niego Ewa z płaczem:
„Patrz, Adaś, taki piękny wieczór,
Chodź ze mną, drogi, dziś na spacer”;

Chodzą tak, chodzą se po Raju,
Ewa przymila się do niego

(Ona zamiary spróbe miała,
On nie kapował się „ten, tego”).

Gdy byli sobą już zmęczeni,
Ona — Adamem, a on — Ewą,
Ewa powiada: „Wiesz co, Adaś?
Chodź, usiądźmy se pod drzewo”.

A gdy usiedli, oznajmiła
Pełna uroku i zachwytu:
„Urwij mi, Adaś, to jabłuszko,
Bo tak nabrałaś apetytu...”

Adam, jak kot, na drzewo skoczył,
(By urwać jabłuszko tak się spieszył),
Wtem przez zaszył: „za-ka-za-ne”
I tak przez Ewę Adam zagrzeszył.

I na pamiątkę od tej pory
Ta czynność w życiu się powtarza,
Ze na zachcianki swojej Ewy
Świętego okradłbyś z ołtarza.

Gutanów, pow. puławski

NAZWISKA mają to do siebie, że rzadko pasują do człowieka: często są nawet w rażącej sprzeczności z

wyglądem zewnętrznym, czy wykonywanym zawodem osoby. Bywają i krewni — parodia tego pojęcia ogólnie przyjętego w stosunkach międzyludzkich — jako ludzie bliscy, a więc życzliwi i uczynni, gdy tymczasem zdarza się, że zaciekle wrogowie osiąga najwyższe nateżenie właśnie w rodzinie.

„Moja” staruszka nazywała się Cesarzowa. Spotkałam ją w jednym z środkowych rejonów naszego kraju, bo gdzie to człowieka w czasie urlopów nie nosi? Przejeżdżając tamtędy wstąpiłam napić się wody:

były żniwa, a lato było suche tego roku...

Gospodarka okazała, zabudowania „groźne”, na podwórzu cały skrzydłaty zwierzyniec, a na schodkach nowego, o niedokończonym jeszcze pięttrze domu, ona — drobniotka starszuszka przed dużym cebrzykiem z ziemniakami, które akurat skrobała. Poskręcane artretyzmem ręce z trudem wylawiały je z wody, a palce nieporadnie trzymały nóż. Zgar-

bione plecy i powolny chód, gdy mi wynosiła garnuszek na wodę, mówiły o pracy, jaką miała za sobą w czasie chyba 70-letniego żywota. Dalej, pod cienistym kasztanem, spało na wózku dwuletnie może dziecko.

— To wasze gospodarstwo? — zapytałam.

— Gdzieżby — nie moje — ja tu jestem przybyła.

— I obcym — tak pomagacie?

— Nie obcym — paniusiu, swoim, a nawet krewnym, bo do siostrzenicy przyszłam, jak mój zmarł, to oni mnie przygarnęli. — Co macie tu sami mieszkac — mówiła — u nas będzie wam dobrze, będziecie se ino siedzieć... No, czasem tylko Zygmusia przyjrzyście, jak my pójdziemy do pola. — I tak się u nich przytuliłam na starość, bo gdzie miałam pójść?

— A dużo mają tego pola?

— Mieli sześć, a ta im dałam jeszcze dwa hektary, bo przecie z gołymi rękami nie przyszląbym, paniusiu... Cesarzowa się nazywam

Dokończenie następniej

NA DOŻYWOCIU

Maria Kozaczkowa



SENIORKA

Maria Wójcik z Bochońnicy, pow. puławski, nie należy do tak znanych twórców tego regionu, jak: Jan Poczka, Ignacy Dobrzyński, Bronisław Pietrak, Zygmunt Kupisz, Zuzanna Spasówka i in. Nie znaczy to jednak, by ta sędziwa poetka nie miała się czym chwalić, o tym bowiem, że poza zbiorem poezji pt. „Wiersze proste jak życie” (1983) i antologią „Wiedź Tworząca T. III (1988) trudno spotkać jej nazwisko; utwory w druku, decydując w pierwszym względzie charakter jej twórczości. Można w zasadzie stwierdzić, że Wójcikowa pisze niemal wyłącznie wiersze okolicznościowe, na wyraźne zamówienie społeczne, konkretnie zaś — na wszelkie uroczystości organizowane przez miejscowe Koło Gospodyń Wiejskich, z którym jest związana przez pół wieku.

Matka Wójcik urodziła się 29 listopada 1894 r. w Bochońnicy. Była piątym z kolei dzieckiem rolników, gospodarujących na 5 hektarach żyznej ziemi puławskiej. Mając zaledwie 8 lat straciła matkę, co z pewnością nie pozostało bez wpływu na fakt że nie dane jej było przystąpić w ogóle do szkoły powszechnej. Czytać nauczył ją ojciec, który również był samoukiem. Pisać, już później, musiała nauczyć się sama.

Młotką została w wieku 17 lat, ale już po 3 latach, kiedy w jednej z bitew I wojny światowej zginął jej mąż, pozostała wdowa z dwiema córkami, borykając się z wieloma trudnościami na każdym kroku. W 1923 roku ponownie wyszła za mąż i została matką czterech synów. Dzisiaj sędziwa artystka z dumą podkreśla, że stworzyła dzieciom, kosztem niewatpliwie sporych wyrzeczeń, znacznie lepsze warunki życiowe, niż miała sama. Najstarszy syn jest pułkownikiem Ludowego Wojska Polskiego, trzech pozostało rolnikami, przy czym najmłodszy ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Lublinie.

Zycie Marii Wójcik — to jedna, wielka kronika 50-letniej działalności Koła Gospodyń Wiejskich w Bochońnicy, dla którego pierwszy wiersz pt. „Styszeliśmy o Warszawie...” ułożyła w roku 1938, by do dziś pisać dla swych koleżanek wiersze na akademie i wieczornice z okazji Dnia Kobiet rozpoczęcia lub zakończenia roku szkolnego, rocznic państwowych i wydarzeń na skalę tylko miejscową. Wiersze jej, zapisane na kartkach wyrwanymi z zeszytu, docierają do starszych i młodzieży, pełniąc z powodzeniem swoją rolę i świadcząc o zaangażowaniu ich autorki.

Te bezsprzeczne zasługi liczącej dziś już 80 lat poetki ludowej doceniło państwo, przyznając jej Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, który w roku 1959 otrzymała z rąk Przewodniczącego Rady Państwa, Aleksandra Zawadzkiego. Warto też odnotować fakt, że Maria Wójcik należała od pierwszych dni istnienia Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych do jego członków — założycieli, podobnie zresztą należy do najstarszych stażem członków Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Antoni Pieper

DZIĘKUJĘ CI MATKO

Dziękuję ci, matko moja,
za gorzki ból rodzenia,
długie godziny czuwania,
pokarm w trudzie zdobywany,
za miłością ogrzewanie
dziecinnego mego serca.
Za niepokojem nekaniem,
gdy mi podrosły już skrzydła,
za skrytych myśli wyznania
w kierunku wspólnego działania.
Za to, że byłaś zawsze przy mnie
w chwilach radości i załamania,
gdy przebywałem w smutku osłonach
i zapalonych myśli płomieniach.
Ze kiedy nieraz ja marzyłem we śnie,
tyś nad mój snem siedząc, czuwała,
i kiedy mnie los dotykał boleśnie,
tyś razem ze mną nade mną płakała.
Dziękuję ci, żeś mi pokazała drogę
niełatwą, ciernistą, z wybojami,
ale wiem teraz, że tam znaleźć mogę,
gdy dojdę do końca, szczęście swoje.
I za to, że będąc teraz w innym świecie,
którego zmysłami nie mogę ogarnąć,
z dalekiej przestrzeni zawsze patrzysz na mnie
i się przesączasz przez myśli moje.

Jastarnia

Febronia Wójcikowa

MÓJ DZIEŃ KOBIEYT

Myślałem se wczora,
Ze mi do tysionczek
I powiy:
To skłódóm do babinyk ronccek.
A tu dzisio rano
Łobudził się stary,
Wyciangnon pularys;
Wroził łokulory...

— Jo se już tak czakom
Z błogościom na duszy...—
A ta zgoga daje mi piontkę
I godo:
Skocz mi do kiosku —
Po papierosy.

Brzeszcze, pow. oświęcimski

doję ci jasny uśmiech
ukradziony słońcu
i ciepło moich ramion
gdy do smu kolyszę
spoglądasz w moje oczy
nim wypowiesz mamom
— wówczas dookola
robi się błękitnie

doję ci ciszę nocny
po przebrzmiałej pieśni
gdy znużona i trwała
two oddechy liczę
i ty śpisz
a ja czuwam
nad twym snem
i życiem

Knyszyn, pow. mońkowski



Fot. P. Kobielski

Elżbieta Daniszewska MOJEJ MAŁENKIEJ CÓRECZCE

NA DOŻYWCIOU



Fot. W. Stepień

rada, że ma okazję z kimś pogadać informuje:

— No kóżby — przecie że ja! Tylko z Zygmuśm mam utrapienie bo mi ucieka, psoci i potem się Honorcka na mnie złości, bo nerwo-wo to ona jest. Teraz mały spi, to choć ziemniaki za ten czas przygotuje: do obiadu i dla „gadziny”.

— Przecieć mieliście odpoczywać i tylko Zygmuśmias czasem dojrzeć — świadomie „podburzam” staruszkę — to przecie ponad wasze siły. Ale moja rozmówczyni poczuła się nagle gospodynią: nie tylko na tamtych dwóch własnych, ale na wszystkich ośmiu hektarach, ważna i honorna.

— Jakże to? — śledzić, jak „gadzina” wola jeść? Widziała to pani, kiedy gospodyni na wsi bez roboty? Toć byłby grzech!

Rzeczywiście, nie widziałam, bo kobieta wiejska od dziecka wprzęgnięta w kierat różnorodnych zajęć i obowiązków, ciągnie go przez całe życie i jakby w nim umiera... Pozostawiłam więc pytanie Cesarzowej bez odpowiedzi, podziwiając ten rozmach pracy, do jakiego przywykła i który nie odrzucił jej jeszcze na pobożce życia. Toć odpoczywać („mitrzyć”) grzech i obraza boska...

— A co z waszym domem — sprzedaliście?

— E — nie, oni puścili tam lokatora.

— To wam płaci?

— Płaci? — zastanawia się chwilę, jakby usłyszała coś niezwykłego. — A juści — pewnie, że płaci, ale pani wie, ile to teraz jest tych podatków — mówili nawet, że do tego dopłacają... Mnie tam nie trza pieniędzy — dodaje po chwili, żeby nie myśleć, że może się żali, że jej nie oddają tego komornego. Ale w rozmowie zapomniła o wykonywanej pracy: położyła żyłaste ręce na kolanach i zapatrzyła się przed siebie...

Potem wstała ze schodka, wzięła wiadro z wodą stojące obok i chciała zalać uszkobane ziemniaki. Ale drżące ręce nie utrzymały ciężaru i — nim zdążyła pomóc — wiadro wymknęło się i oblało ją od pasa w dół... Spojrzała na mnie i dopiero wtedy w jej oczach wyczytałam to

wszystko, czego nie chciała powiedzieć: przemęczenie życiem i pracą ponad siły, byle nie narazić się na nerwy Honorcki. A przecieć miała prawo do odpoczynku, bo wniosła swój majątek krewnym, przy których zapewniano jej spokojną starość...

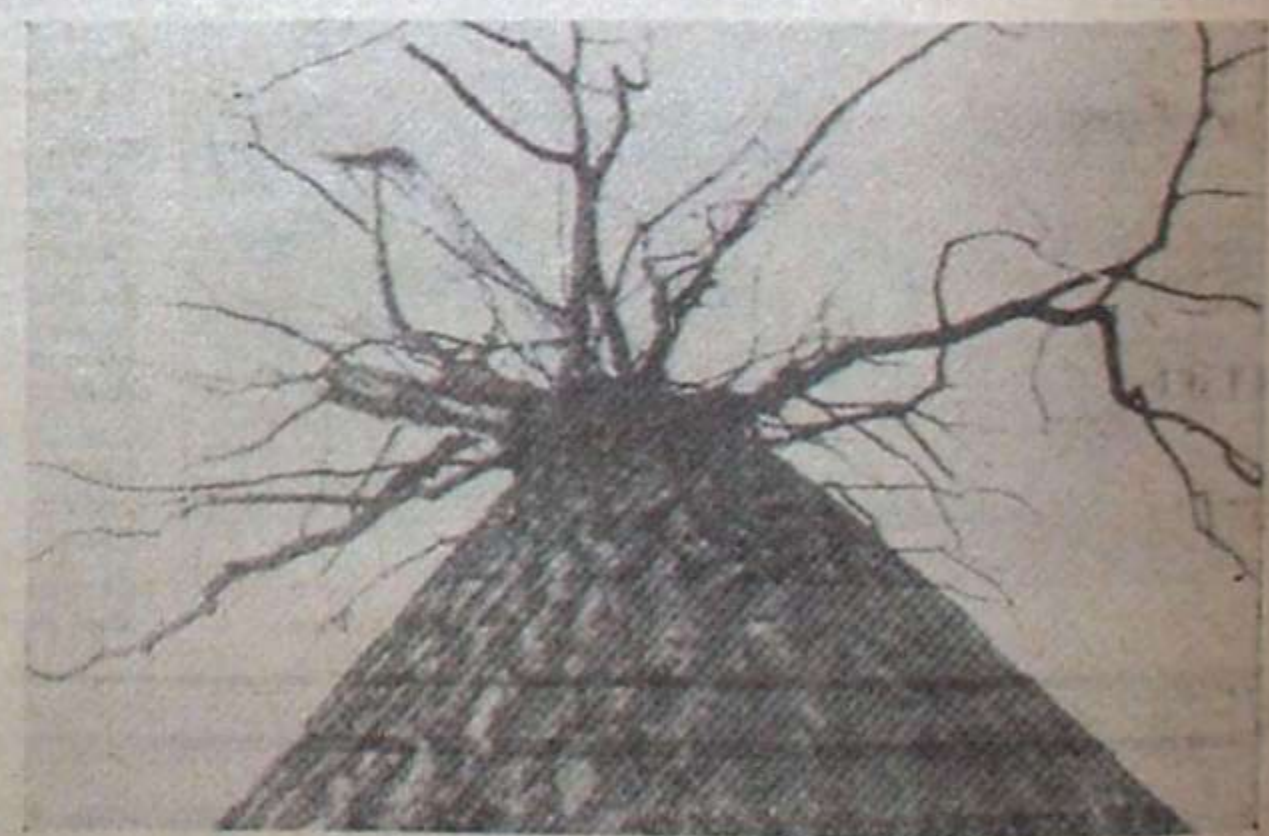
Zygmuś się obudził, a i w podwórzu wchodziła gospodyni: kobieta w sile wieku — okaz zdrowia i wiejskiej krzepy.

— To jeszcze nie ma obiadu? — to co ciotka robiła do tej pory — i Zygmuś ma mokre majtki! — Niech ciotka idzie za mną w pole, to ja tu nie będę leżeć i wszystko będzie

zaskoczona — to moja rodzona ciotka, ciocia, — poprawiła się — żeby nie my, to by się nie miał kto nią z opiekować, bo starość nie radość — dodała...

Spojrzałam na „ciocię”, stała teraz mała i zgarbiona, rozpacaliwie bezradna i beznadziejnie smutna. Do tego mokry miała nie tylko fartuch i rzemykowe sandały (z których sterczały zniekształcone artretyzmem — jak u rąk — stawy stóp), mokre miała również oczy i już w niczym nie przypominała Cesarzowej...

Skinęłam w jej stronę głową i — nie patrząc na Honorckę — powoli wyszłam na ulicę. Nie pamiętam nawet czy napiłam się tej — podanej mi przez staruszkę — wody... Dławiła mnie myśl, że nie mogę zniwelować wilczych dołów, jakie



Fot. A. Polakowski

zrobione na czas — zagaiła. — Wzięła dziecko z wózka na ręce i dopiero wtedy zauważyła mnie siedzącą w cieniu. Szybko to skojarzyła z samochodem stojącym na pobożcu ulicy i rzekła cierpko — niby żartem:

— Aha — ciotka gości przyjmowała...

— Ano gości — powiedziałam przekornie — przyszli zobaczyć, czy wasza służąca zarobi sobie u was na kąpiel i tyłek jedzenia — okazuje się, że nie...

— Jaka służąca? — powiedziała

zastawiają na starych ludzi... krewni... Obey by się na to nie odważyli, w obawie przed opinią wsi, a do „spraw rodzinnych” nie wtrąca się nikt.

Czy słusznie?

Maria Kozackowa

Dąbrowa Tarnowska

Autonomiczny dodatek „Kamery” — „Ziemia i Pies” pod redakcją dr. Romana Rośki

Dokończenie ze str. poprzedniej

— powiedziała głośnie, jakby to nazwisko miało usprawiedliwiać jej honor i godność, że na niczyją łaskę nie patrzy.

— A inwentarz duży? — indaguję.

— Ano — jest para koni, cztery krowy, jałówka, trzy bekony i maciora z prosiętami. No i ta „gadzina” — pokazała ręką na drób.

— Któż to obrządza, jak oni idą na pole — jak dziś do żniw — to przecieć dużo roboty — pytam dalej.

Staruszka milczała chwilę: może dziwiła się mojej niedomyślności, a może się nie zastanawiała, że to właśnie ona zamiast odpoczywać i czasem Zygmuśmias dopatrzeć — została nieplatanie robotnikiem w gospodarstwie, zostawiona samotnie z pracą ponad siły — w gospodarstwie dużym, gdzie liczą się każde nawet takie, jak jej — drżące od starości — ręce...

— Do dojenia w południe przychodzi z pola siostrzenica, weźmie tamtych — ojeu i mężowi (powiedziała „chłopu”) obiad — a na wieczór, to już wszyscy obrządzą — przecie bym sama nie wydołala.

— A kto ten obiad gotuje — pytam jeszcze, choć czuję, że mogłaby mi odpowiedzieć — po co to wiedzieć ob cemu? Ale Cesarzowa

OKO -JICE SZTU -KI

INFO i obraz poczciwy

KLAUS Groh mieszka w Oldenburgu (RFN), gdzie od kilku lat prowadzi własną instytucję pn. „International Artist's Cooperation”. Jest to coś w rodzaju prywatnego biura „poczciwo-wydawniczego”, które umożliwia kontaktowanie się artystów mieszkających w różnych częściach świata. Groh, artysta i teoretyk sztuki zajmujący się głównie — upraszczając sprawę — konceptualizmem, prowadzi IAC bezinteresownie, właściwie sam finansuje to międzynarodowe przedsięwzięcie; sześciomiesięczna opłata za prenumeratę roczną biuletynu IAC INFO (pierwsze litery słowa „Informacja”), który wydaje, nie pokrywa nawet kosztów korespondencji, wyjątkowo w tym wypadku szerokiej i daleko sięgającej. Publikacja ta zawiera różnorodną dokumentację artystów, zwięzłą dokumentację ich działań, teksty o charakterze konceptualnym, także rysunki satyryczne o treści politycznej, społecznej czy obyczajowej.

Redycja biuletynu INFO w Polsce zajmuje się krakowska Sekcja Krytyki i Informacji Plastycznej SDP (wówczas obecny Stefan Papp) przy udziale tamtejszej galerii „Propozycje”, która bierze udział w akcji IAC i jest prowadzona przez Krzysztofa Korczyńskiego i Stanisława Urbańskiego. Oni właśnie zorganizowali niedawno w Krakowie pierwszą w dziejach wspomnianego ruchu ekspozycję INFO, która zgromadziła prace ponad dwudziestu artystów z Europy.

USA, Ameryki Południowej, Azji. Ceterum następnego lutego i Międzynarodowa Wystawa INFO otwarto w lubelskiej galerii „Labyrint”.

Wiadomo, „Labyrint” nadal mało pojemny, ciasnowy, jak przyjdzie trzydziści osób, to chodzą sobie po plecach; a najniższa i największa kubatury o kondygnacja nadal zamknięta, pusta, czekająca na dobre spojrzenie inwestorskiego Pana Boga, czy diabli wiedzą na co. Tymczasem owego dnia lutowego zważyło się do galerii bodaj dwieście osób: obok młodzieży, co zwyczajne w „Labyrint”, pojawili się także ludzie wiekowi. Mieliśmy do czynienia z tzw. mozaiką pokoleń, a o to właśnie od dawna chodzi polityce kulturalnej. Sytuacja wyjściowa do zapowiedzianej dyskusji na temat INFO była zatem niejasna: gęsty melanz generacyjny obiecywał ostre kontrowersje, ale goście, którzy nie zmieścili się we właściwym pomieszczeniu i okupowali schody oraz bufet (od lat niezynny), ani okiem, ani uchem nie mogli kontaktować się z epicentrum, co wzbudzało ich uzasadnione niezadowolenie. Pewien pan to nawet pokrzykiwał z wysokości piątego stopnia, lecz co najciekawsze — pokrzykiwał całkiem mądrze!

Na wstępie Korczyński i Urbański powiedzieli, że tym, co prezentuje wystawa INFO, interesuje się przede wszystkim młoda generacja, która „odrzuca dotychczasowy model sztuki oparty na kryteriach natury estetyczno-formalnej” i szuka nowego języka komunikacji artystycznej. „Posługują się językiem nie uważanym za artystyczny”, rysunkiem technicznym, tekstami o charakterze obiektywnej dokumentacji czy gotowymi fotografiami, hasłami itp. środkami, eliminując często czynnik subiektywny... Artysta wybiera język najbardziej adekwatny do przekazywanych treści i treść jest nadrzędna w stosunku do formy — tak jak nigdy dotychczas”.

Sprawę wyłożono jasno, lecz w dyskusji okazało się, że idee Stanisława Witkiewicza („Dobrze namalowana głowa kapusty to obraz lepszy od źle namalowanej głowy Chrystusa” — cyt. z pamięci.) stanowią dziś trzon potocznej świadomości estetycznej: ciekawe, także rozumienie rzeczy lansowaliśmy energicznie w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, po „sociologizującej przerwie”, w momencie trzeciego oddachu sztuki nowoczesnej w Polsce. Tak zatem ludzie pytali często, czy np. tekst Vostella o sztuce „to robotników jest dziełem sztuki. Ci zaś, którzy uporali się już z konwencjonalnym pojęciem sztuki,

wątpili głośno, czy owa „ingerencja w życie” posiada jakiegokolwiek szanse skuteczności... Trwało to bodaj trzy godziny. No i co? Mówiac jednoznacznie: wystawa INFO okazała się autentyczną prowokacją intelektualną, estetyczną, także moralną, a więc była faktem potrzebnym i wartościowym. To nie ulega wątpliwości.

Oczywiście, sam ruch INFO jako określony rodzaj komunikacji artystycznej, w poważnym stopniu nastawionej na interwencję w rzeczywistość, budził kontrowersje. Dotyczą one zarówno treści przekazów, często białych i neutralnych, jak i społecznej skuteczności demonstracji o sprzecywnych ambicjach, np. politycznych, z reguły zabarwionych lewicowo. Wokół tych kwestii toczyła się inna, bardziej już kameralna dyskusja, której krótki fragment przedstawiam.

IJK: — Czy ruch INFO nie przypomina czegoś w rodzaju skarłalej masonerii?

M. Podgórski: — Zamkniętego klanu podziemnego?

K. Korczyński: — Nie. My tylko rejestrujemy zjawiska, które istnieją dziś w świecie artystycznym. Wystawiamy ich fragment, bo akcją wymiany informacji chcemy objąć jak najwięcej galerii w kraju. To chyba dobrze, że ludzie mogą informować się wzajemnie o tym, co myślą o świecie, o sztuce.

S. Urbański: — Akcja jest bezinteresowna, w tym leży jej niezaprzeczalna wartość.

E. Zarzycka, studentka PWSSP we Wrocławiu: — Argentyńczyk Zabala protestuje listownie przeciw uwięzieniu jednego z wojowników o wolność Trynidadu. Czy ten tekst został zrehabilitowany specjalnie na wystawie INFO?

S. Urbański: — Skądże znowu! Był kolportowany, przesłał go nam międzynarodowy komitet na rzecz uwolnienia Malcolm'a.

M. Podgórski: — Kiedyś artysta był kapłanem, czemuś służył. Dziś jest zawodowcem, pracownikiem, to wszystko. List Zabala niczemu nie jest w stanie przeszkodzić, niczego zmienić.

S. Urbański: — Wysłano sto takich listów i jest to chyba sensowniejsze od namalowania jednego protest-obrazu i powieszenia go w Luwrze.

M. Czapski, adwokat: — Czytam na ulotce: jakiś pan Kocman informuje mnie, że jest panem Kocmanem. No i co z tego? Albo tekst Vostella... Czy to są dzieła sztuki?

IJK: — Niestety takich dyskusji jest posługiwanie się — z nawiązką — braku innych i lepszych terminów — pojęciami, które historia i praktyka potoczna związały z już określoną i odrębną kategorią zjawisk kulturowych. Więc jeśli ktoś bierze do ręki ulotkę pokazaną w galerii sztuki, to zaraz pyta, czy to jest właśnie sztuka?

E. Zarzycka: — Vostell wydrukował tekst, bo taka forma przekazu wydała mu się najlepsza.

M. Czapski: — No to ja wywieść w galerii pozew sądowy. Czy przyjmiecie mnie do ruchu INFO?

S. Urbański: — Tak, jeśli zostanie to dokonane celowo i zaopatrzone podpisem mecenas'a.

M. Podgórski: — Umówmy się, że INFO jest ruchem ludzi, którzy przekazują sobie informacje o własnych postawach wobec świata. Rozważania o zakresie pojęcia „sztuka” tracą tutaj sens i zasadność.

E. Zarzycka: — Przyjdzie czas, kiedy każdy, kto ma coś do powiedzenia, będzie uważany za artystę. Bez względu na to, czy pracuje w magistracie, czy w przechowalni dworcowej, jako „dziadek”.

IJK: — No, no...

M. Podgórski: — W ruchu INFO warta uwagi i może akceptacji jest, moim zdaniem, przede wszystkim próba tworzenia wartości, samookreślenia, zajęcia postawy — na przykład przez wysyłającego ów list protestacyjny. Zdejmijmy akcent z tego, że niby poprzez INFO chcemy zmienić coś w życiu.

K. Korczyński, S. Urbański: — Słusznie, bo już nie chodzi o sprawy artystyczne, lecz o problemy znacznie szersze. To, co najważniejsze w dzisiejszym świecie, dzieje się poza sztuką.

IJK: — W moim przekonaniu INFO jest jednym z przejawów ludzkiej aktywności, na tyle jeszcze świeżym, że frapującym, który absolutnie nie kompromituje innych środków komunikacji, takich na przykład, jak poczciwy prostokątny obraz. Zresztą dzisiaj powstające obrazy wcale nie są poczciwe. Zobaczcie co przedstawiają, o czym informują.

IJK

POD PARAGRAFEM

Siedmiu

„wspaniałych”

WYCHODZI więc człowiek z restauracji „Popularna” w Lubartowie, jeszcze ma gardło ściśnięte solczonem, a głowę omroczoną wódką, i ślada ciekło na schodkach przed restauracją „Popularna” i zasypia z miejsca, bo co tu robić z takim pięknie rozpoczętą nocą? Los stali nie daje mu spać zbyt długo, gdyż człowiek zostaje obudzony przez niewinnego smolka lat kilkunastu:

- Wujku, ciocia się pyta, dlaczego nie przyniosłeś pianiszka do domu?
- Odejdź stąd, gówniarzu, ja nie mam siostrzeńca!
- Wujku, nie wyperaj się, ciocia kazala zaprowadzić cie do domu.
- Bywało, że skotowany „wujek” dał się prowadzić smolkom w... ciemny zaułek, gdzie „wujka” w dzień, pod fiedl, za portfel i w nogi. Czasem się szukało klientów pod kinem „Lewari”, śpiących w krzakach. Czasem rozpaczało w bocznej ulicy, zataczających się od krawężnika do krawężnika. Takiego przewrócić na ziemię łatwo, choć bywało, że nie zdążyli przeszkukać klienta, powleczł akurat ktoś trzeciwy nadchodził.

Zabierali wszystko, co to rękę upadło: długopis, czapkę, zegarek, paczkę „sport”, szczyrek, ale przede wszystkim pianizda — od kilku złotych do ponad tysiąca. Zależało na ile cęply „wujek” się trafił.

Jest ich siedmiu. Trzech 13-latków, jeden 14-latek, dwu 15-latków i jeden 18-latek. Działali z wyjątkową bezczelnością. Nie zawsze całą siódmką, nieraz zbierali się w mniejsze grupy, ale zawsze w tym samym celu — przewrócić, pobić, ograbić. Jeśli łup był bogaty, użytkowali go na zbiorowy zakup kilkunastu butelek szklanka i zbiorowe picie, ewentualna reszta dzielili między siebie według zasług i wleku. Nosili różne pseudonimy, oni oraz ich koleżdy którzy nie stawali przed sądem, ponieważ stawali tylko szatańskie „rodowisko”: Dudek, Koko, Koka, Syfon, Panek, Szwedek...

Najczęściej zbierali się pod Urzędem Powiatowym, gdy było jeszcze widać — tutaj grał to trio, ciułek. Następnie wędrowali na latokę przed ściepami miejskim naprzeciwko „Popularnej” — czekali na zmrok i okazję, obserwowali ruch klientów. Było to więc działanie świadome, z premedytacją.

Kilkunastoletni chłopcy, którym w śledztwie wszczętym bez wyjątku rura zmigła i przyznali się do wdzięku zarzutów. Kiedy zeznawali przed sądem, to niektórym trzeba było podstawić stolki, żeby ich było widać zza ławy oskarżonych. Dotąd nie karani.

Wpadli, ponieważ któryś z ograbionych przelamał testy przed rodziną i... milicją, przyszedł i złożył zeznania. Więc działali jedynie dwa miesiące. W trakcie śledztwa poszkodowanych odnaleziono więcej. „Wujkowie” zeznawali potem przed sądem w charakterze świadków. Mało który przyznał się, że był spity do nieprzytomności. Tylko „setka”, najwyższej „dwójki”. Napastników nie znanaczył dokładnie, słyszał jak przez mgłę: „Ładuj, bierz lantarę, przyda się”. Lantarę rozpoznaje.

Chłopcy przed sądem też same baranki. Dopiero cierpliwość i konsekwencja sędziego prowadzi do odstąpienia prawdy, potulenia wdzięku zeznań ze śledztwa. Ale co zrobić z chłopaczkiem, który tuż przed, że nie wie, co znaczy kropka wytatuuowana u niego na twarzy, choć powszechnie wiadomo, choćby nawet z literatury, iż znaczy ona młodzieja.

Dziennikarz z konieczności musi upraszczać. Każdy z tych chłopców nie jest winny w jednakowym stopniu. Określenie stopnia winy to sprawa sądu, a nie dziennikarza. Wyrok opiewał od 4 lat pozbawienia wolności, poprzez orzeczenie pobytu w zakładzie poprawczym, aż do oddania pod nadzór kuratora sądowego.

Ale jest jeszcze kwestia środowiska, z którego ci chłopcy wyszli. Rodziny proste, wędłodzielne, zapracowane, często alkoholizm ojca, nierzadko przeszłość (i „teraźniejszość”) kryminalna kogoś z bliskich. Szkoły sobie nie wadzą z chłopcami i z rodzicami, których nie obchodzi potomstwo. Co ma robić szkoła, gdy chłopak potrafi na przerwie ukręcić głowę koleśkowi?

Mówi się, że cena wzrostu przemyślnego wielkoprzemysłowego jest równocześnie wzrostem przestępczości, szczególnie nieletnich. Ale Lubartów i jego okolice nie wchodziły w zakres przemyślnego wielkoprzemysłowego. Więc może to spokojna miasteczka, gdzie każda ulica prowadzi w kartoflika, nuda ulica z każdego kąta i brak szerszych możliwości zarobkowych, może takie miasteczka też nie są oazami spokoju i statycznej zaskoczoności? Może najgorszy jest to takich miasteczek okres, kiedy coś się już zaczyna dziać i ruszać, ale jeszcze nie całkiem na dobre?

Sennik egipski

— 30 —

Postąpić kobietę — kłopoty
Postąpić mężczyznę — spotkać cie zawód
Poślęch — niepowodzenie
Pospieszny pośląg — niespodziewana wiadomość
Posłaniec — miła wiadomość
Postrzał otrzymane — niespodziewane pieniądze
Postronk — buda sprawy sporne
Pośrednikiem być — nie kładź palca między drzwi
Potargać się — skompromitujesz sam swoje życie
Potępić — popełnił niesprawiedliwość
Potknąć się — niezadowolone moralne
Potul się — złość, która będzie miała smutne następstwa
Potok — szczęście i radość
Potok rwący — silne zdenerwowanie
Potop — nagłe niespodziewane nieszczęście
Potrawa — dużo nadziei
Potwora widzieć — złe nowiny
Potyczkę obserwować — być powołanym za świadka
Potyczka, brać w niej udział — popełnił śmiały czyn
Powalać się błotem — obmowa
Powidło — niepotrzebnie niepokoić się
Powleki chore — ciężkie orzeźwienie
Powieszonoego widzieć — zysk
Powieść czytać — poznasz bliżej cudze życie
Powinować chusteczka — pożegnasz kogoś
Powinszowanie strzymać — zawiadomienie o niezaplacenym długu
Powódz — natrętni wierzyciele
Powój — liście — trudne obowiązki
Powój — kwiaty — wrachowane towarzystwo
Powóz — marzenia spełnia się
Powrót — uznanie swych win
Powrót — sprawy sporne
Powrozem wiązać — pewne zyski
Powzroście — twaliwe przykleje
Pozew dostać — zachwiana równowaga moralna i materialna
Poziomki zrwać — trudne wyłuskanie prawdy
Poziomki leć — szczęście w małżeństwie
Pożar — niespodziewana strata

Dalszy ciąg nastąpi

Kultura 1975

Autorzy

Władysław Reymont mówił o swojej powieści „Ziemia obiecana”: „To życie i tamten świat łódzki (...) jest to chaos brudów, metów i dzikości, złośliwości, klesk, ofiar, szamańskich upadków: jest to ryzostok, w którym spływa wszystko, dzika walka o rubla, wielka sarabanda przed ołtarzem złotego cielca, jest to ohydne, ale zarazem potwornie mocne i wielkie”.

Andrzej Wajda, reżyser filmu opartego na tej powieści: „Każde podjęcie tematu historycznego musi mieć jakieś odniesienie do współczesności, musi być przez nią zaakceptowane. Wydawało mi się, że warto, aby dziś, w takim momencie, w jakim się znajdujemy, cały nasz kraj, rzucił okiem wstecz, żeby zobaczyć to, co mamy za sobą”.

Reymont po napisaniu powieści musiał uciekać aż do Ameryki, bojąc się postrzępek fabrykantów, sportretowanych w swoim dziele. Jak się zachowają reżymy przywzajemnej inicjatywy wobec Wajdy?

Balety

Wśród wielu waleńców klasycznego już filmu Sergiusza Eisensteina „Iwan Groźny”, poczesne miejsce zajmuje muzyka innego Sergiusza — Prokofiewa. I oto niespodzianka. Moskiewski kompozytor Michaił Czuliaki uzupełnił tę muzykę kilkoma innymi utworami tego kompozytora, zaś baletmistrz Jurij Grigorowicz opracował libretto — i w ten sposób powstał nowy balet pt. „Iwan Groźny”, którego premiera odbędzie się wkrótce w moskiewskim Teatrze Wielkim.

Życie i śmierć Marylin Monroe wciąż niepokoi twórców. Ukazała się jej biografia książkowa, potem wyprodukowano o niej film, wreszcie napisano sztukę teatralną. Teraz zaś w londyńskim Arts Theatre odbyła się prapremiera baletu o aktorce. Balet jak balet — poprawny.

Atrakcją jest tylko tancerka Tessa Bill-Yealds, tudzież podobna do Marylin Monroe, zwłaszcza we fragmentach, gdy występuje zupełnie nago.

Dylemat

Wszelkie rekordy powożenia — nawet „Ojca chrzestnego” czy „Egzorcysty” — bije w Stanach Zjednoczonych film Michaela Winnera „Death Wish” („Zadza śmierci”), zresztą adaptacja powieści Briana Garfielda. W Nowym Jorku trzech chuliganów napadło w mieszkaniu na żonę i córkę szanowanego inżyniera. Zmasakrowana żona zmarła, córka skoczyła w szpitalu dla umysłowo chorych. Inżynier rzuca pracę, tropi wszelkiego autoramentu burzylieli porządku publicznego i kolejno strzela im w łeb.

Policja jest w rozterce. Sama nie daje rady przestępcom i właściwie jest zadowolona, że ma takiego sprzymierzeńca. Z drugiej strony inżynier jest człowiekiem, który bez sadu sam wymierza sprawiedliwość i w oczach prawa jest zabójcą. Wic: zostawić go w spokoju, aby nadal czynił swoje, czy też zdwoić wysiłki, aby go ująć? Twórca nie daje na to odpowiedzi. A sądy widzów są bardzo różne.

Kurtyna

Właściwie trudno powiedzieć, co w teatrze jest przed, a co za kurtyna, bo zależy to od tego, z której strony się patrzy — od strony widza czy aktora. Nie rozstrzygając problemu, porównajmy trzy sprawy.

W lutym w warszawskiej Panoramie prezentowało swój dorobek Opole. Tamtejszy teatr zastąpił już na początku lat pięćdziesiątych, gdy K. Skuszanka wystawiła „Sztorm” Białocerkowskiego. Rola tej ówczeski była w Opolu szczególna: chodziło o integrację ludzi pochodzących z różnych stron kraju i świata, o

różnych obyczajach, narzeczeniach, gwarach, różnym poziomie świadomości narodowej i kultury. Prawie 1 milion widzów w ciągu 30 lat w teatrze dramatycznym i 2,5 miliona dzieci i młodzieży w teatrze lalkowym, to olbrzymi wkład w dzieło repolonizacji Ziemi Opolskiej. W nagrodę Opole otrzymało właśnie piękny budynek dla teatru im. Kochanowskiego.

Dla odmiany nieporównanie bardziej sławny w świecie The Royal Shakespeare Company ze Stratford w Anglii stoi w przededniu bankructwa. Brakuje milion funtów szterlingów na wydatki bieżące i konieczny remont budynku. Zbiera się do prostu składki w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Japonii, Australii i innych krajach. Aby przyciągnąć widzów, gra się również sztuki współczesne — wbrew wielowiekowej tradycji.

W USA też nie jest najlepiej. W jednym z najambitniejszych teatrów, waszyngtońskim „Arena Stage”, przed każdym spektaklem wychodzi na proszenie aktor i mówi: „W ciągu ostatniego roku poszły w górę wszystkie ceny — z jednym wyjątkiem — ceny naszych biletów. Aby je utrzymać na tym samym poziomie, potrzebujemy pomocy naszych sympatyków”.

Niepokoje

„Obszar naszych parków narodowych — pisze Stefan Maciejewski w „Życiu Literackim” (nr 8) — jest niezmiernie niki przy porównaniu z wielkościami terenów tego typu w innych krajach. Tymczasem gwałtownie wzrasta liczba turystów odwiedzających parki, co powoduje istotne dla nich niebezpieczeństwo, jako że ich turystyczna chłonność — przeciw ograniczonej czynności naturalnym — systematycznie jest przekraczana. Zatem jeśli nie utworzymy nowych parków narodowych, krajoobrazowych i „obszarów chronionej przyrody” — wówczas istniejące parki zadasza się turystami, a parkom krajoobrazowym grozić będzie dewastacja”.

(...) W dyskusjach nad ochroną obszarów o unikalnych walorach przyrodniczo-krajoobrazowych bierze się pod uwagę także tereny, jak: Kotłina Biebrzańska, fragmenty Połasia, Połesia Lubelskiego, Rortocze”.

Kiedy Oskar Wilde dowiedział się, że pomiędzy Londy-

nem i Nowym Jorkiem założono kabel telefoniczny, powiedział nie bez sarkazmu: nieważne, w jaki sposób będą mówili, istotne jest — o czym”. Przymienniejąc to, pisarz-scenarzysta i czasopiśmielnik „Sowiecką Kultura”: „Z nami, filmowcami, jest odwrotnie. My wiemy, o czym mamy mówić, bo tematy podsuwa nam życie. Ale problem: jak o tym mówić — jest problemem numer jeden naszej sztuki filmowej. (...) Absurdem jest uważać, że jeżeli pokażesz w filmie robotników zatrudnionych przy odlewaniu stali, rozwiążesz w ten sposób jakieś zasadnicze problemy. Albo — czy dobro i zło można upraszczać do białoczarnych stereotypów!”

Poglądy

Włodzimierz Sokorski w „Kulturze” (nr 7): „W nowoczesnych kierunkach literackich coraz rzadziej się styży o różnych formach antypowieści czy antyliteratury i coraz częściej pisarze uciekają się wręcz do naturalizmu, w poszukiwaniu autentyczności życia (...) Pojęcia nowoczesności również w piosenkach, muzyce, teatrze, kinematografii zmieniają się coraz częściej, nie mówiąc o problematyce moralno-obyczajowej, która po ekstrawaganckich porno, wampirokultury i sadystycznych zapisach zbrodni, szuka dziś ratunku w tradycyjnych znakach przestrogi, nie odwołując się do mody kobiet, które nagle zeszyły na ulice nowoczesnych miast w strojach naszych prababek”.

Wiesław Jażdżyński w „Odgłosach” (nr 8): „Nie najlepiej przedstawia się sprawa współpracy pisarzy z prasą codzienną, przede wszystkim zaś z telewizją i filmem (...) zasady wzajemnej współpracy odbiegają daleko od normy, bywają niekiedy nawet nieprzyzwoite, zwłaszcza jeśli mowa o filmie. Poczynania niektórych reżyserów specjalistów od tzw. „własnej koncepcji” wobec literackiego tekstu, wołają niekiedy o pomstę”.

Françoise Sagan w nowej powieści „Reponses” („Odpowiedzi”): „Pieniądzu? Chyba jedynie w tym celu, aby posłużyć się nimi bez pogoni za luksem, za szaleństwami. Z tym moim zdaniem może nie zgodzić się tylko hipokryta. Przyjaźń i miłość — oto co jest najważniejsze, co decyduje o szczęściu człowieka. Sex w miłości? To wszystko i nie. To rzecz konieczna, ale nie wystarczająca”.

Reżyserzy

Mediolńska opera La Scala wystawiła „Milość do trzech pomarańczy” Prokofiewa w konwencji commedia dell'arte. Reżyser Giorgio Strehler zmusił nawet solistów do tego, że nie tylko śpiewa i tańczy, ale nawet chodzi na rękach i wspina się na linach — jednocześnie śpiewając. Cała dekoracja to linie proste oraz trzy olbrzymie domarzące na ich tle.

Paryski Theatre de la Ville wystawił sztukę A. R. Lesage'a pt. „Turcaret czyli finansista”, napisaną przed 150 laty, która piętnuje finansistów, poborców podatkowych, nierobów i ich żony oraz kochanki. W komedii tej nie ma ani jednej postaci pozytywnej. Reżyser J. Peyrat dogrzebał się w kronikach, że zima, gdy autor disał sztukę, była bardzo ostra, więc ubrał teraz aktorów w futra, okutał w szale, kazał im kichać i kaszleć z przeziębienia, rozcierać zmarznięte ręce, grzać się przy kominku. W ten sposób ostra satyra, bardzo aktualna także w dzisiejszej Francji, stała się niemrawym zebraniem ludzi zakatarzonych i zagryzionych.

Lubliniana

Mówi się u nas często, że lubelskie środowisko literackie jest nie tylko nieliczne, ale i mało piszące. A to nie prawda. W roku ubiegłym Wydawnictwo Lubelskie wydało siedem tomów prozatorskich lubelskich pisarzy — M. Bęczczy-Rudnickiej, W. Gralewskiego, A. Grychowskiego, K. A. Jaworskiego (2 tomy), L. Jęgorowa i J. Olczaka. Autorami tomików wierszy byli: M. Kamwałko, W. Kleczewski i W. Michalski. Powieści dla dzieci: M. Józefacka i A. Lekki. Ponadto WL ma na koncie 4 tomy wspomnień i pamiętników oraz 13 pozycji popularno-naukowych autorów lubelskich, z których wiele wykazało się walorami literackimi.

Rok bieżący rozpoczął się niespodzianką. W ogólnopolskim konkursie na scenariusz lub nowelę filmową poświęconą tematyce górniczej jedna z dwóch drugich nagród (pierwszej nie przyznano) zdobył lublinianin — Kazimierz Leśniewski. Nazwisko „literacko” dotychczas nie znane. Wielce udany debiut i to w tematyce, która dopiero staje się aktualna w naszym województwie.

noty i notki

Z zażenowaniem i zadumą przeczytałem krótki komentarz pt. „A papierki krążą” w nr 46 „Trybuny Ludu”. Chodziło o istniejącą jeszcze w naszej administracji papierkomanię, która przecież jest jednym z objawów biurokracji. Otóż jak wynika z badań, przeprowadzonych w kilku województwach przez pracowników Urzędu Rady Ministrów, nasze — lubelskie — wiedzie prym w produkcji administracyjnych papierków. W roku ub. Urząd Wojewódzki w Lublinie otrzymał ni mniej ni więcej tylko 235 tysięcy różnych pism. Nie chcąc zaś być gorszy od nadawców — wysłał więcej: 286 tysięcy pism. Przeciętnie więc w rejestracji korespondencji wyrastało 1720 pozycji dziennie. Kto to przeczytał? Kto zareagował? Ile zużyto papieru i kopert? Niech sobie każdy policzy sam.

Nazwa jest nawet całkiem wdzięczna: Banan. Tak zwie się sklep owocowo-warzywny w Lublinie przy ul. Krakowskie Przedmieście 74. Od chwili uruchomienia tego sklepu (po przebudowie i powiększeniu) minęło już przeszło pół roku, a banany były tam w sprzedaży tylko dwa razy. Ponieważ w sprzedaży ciągle są tam tylko kartofle, proponuję zmienić nazwę sklepu adekwatnie do tego, co jest w jego wnętrzu. Będzie mniej egzotycznie, ale za to prawdziwie.

Bardzo mnie podniosła na duchu wiadomość, zamieszczona w „Kurierze Lubelskim” (nr 46), że Lublin jako drugie miasto wojewódzkie w Polsce otrzyma Ośrodek Tancerzy (pisane z dużych liter). A wiec znów nie wierzmy się w ogonie. Wszakże, że tenże Lubelski Ośrodek Tancerzy (z dużych liter) rozpoczął równocześnie przyjmowanie zapisów do działającego w jego ramach Klubu Eksperymentistów! No bo walc wiedeński i walc esperancki to przecież dwie różne rzeczy. Ten pierwszy tańczy się na trzy pas, a ten drugi?

W tym samym numerze „Kuriera”, po sąsiedztwie, ukazała się wiadomość nt. „Kotlet à la e-bar”. Autor twierdzi, że zamiast schaboszczaka podano mu „cosik”, co „w sposób tylko znany fachowcom” „kształtowało z żyły i bulki tartę”. Po

interwencji „cały garnek kotletów, który przed chwilą stał jako żywy na ladzie — zniknął. Widać wszystkie posiadają na sumieniu jakieś żyły wewnętrzne”. Muszę przyznać, że polszczyzna (dru) też okazała się bardzo żyłasta i nawet nie posypana tartą bułką. W dodatku nie wiadomo, o który lokal chodził.

Jedynie „Życie Warszawy” w sprawozdaniu ze zjazdu literatów w Poznaniu podało, że przeciętna wieku członków ZLP wynosi — 60 lat. Prawda, że Goethe napisał drugą część „Fausta” mając lat ponad 60 i że dopiero wtedy został członkiem honorowym Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Ale nie każdy jest czy będzie Goethem. Wynika z tego, że albo nie mamy młodych talentów pisarskich, albo kryteria przyjęcia do ZLP są złe. W każdym razie tak jak jest — jest źle.

Recenzując książkę Henryka Panasa „Na rozstajnych drogach”, Piotr Kuncewicz („Kultura” nr 7) twierdzi, że książka ta „pachnie literaturą”. Wyjaśniając ten eufemizm Kuncewicz pisze, iż było niemożliwe, aby człowiek z Warmii najpierw walczył jako żołnierz w Wehrmachcie, potem Armii Czerwonej, a wreszcie Dywizji Kościuszkowskiej. Godzi się przypomnieć Kuncewiczowi, że w czasie wojny hitlerowskiej Niemcy uznali za Niemców — nawet bez podpisywania volkslisty — pewne grupy Polaków, mieszkających na Warmii, Mazurach, Górnym Śląsku i w Wielkopolsce. Sam miałem stryła, który mimo polskiego nazwiska i wciąż deklarowanej polskości został uznany za „obywatela Rzeszy narodowości polskiej”, oraz wuj, który mimo niemieckiego nazwiska był powstańcem wielkopolskim, a podczas plebiscytu na Śląsku na dziesiątkach wieców agitował czynnie za Polskę. Po półtorawiekowej niewoli sprawy na pograniczu polsko-niemieckim nie pachniały literaturą, ale dramatami i tragediami zyciowymi.

Z Puław do Czarnolasu nie jest daleko — wszystkiego 25 km. Ale ile osób udających się do dawnej siedziby mistrza Jana spotrzeżło, że pierwsza miejscowość po przekroczeniu granicy województwa lubelskiego jest wieś o wieloznacznej nazwie — Płajaków?

W poczekalni pracowni protetyki stomatologicznej w Lublinie przy ul. Hipoteckiej 4 nie wolno palić tytoniu. Stwierdził to tylko co z tego? Gdy wszedłem do pokoju zabiegowego w dniu 24 lutego, na sześć osób personelu ctery były zajęte nie tylko rozwiązywaniem krzyżówek, ale także palili papierosy. Siedząca na sąsiednim toalecie staruszka nie mogła dokładnie przypomnieć protezy, bo co chwila krztusiła się szadymionym powistrem.

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII



KLUB STAREJ FOTOGRAFII

Zdjęcie przedstawia: porucznika Mamerta Iwanickiego z Nowogrodu n/Narwią, weterana Powstania Styczniowego 1863 r.

Data wykonania: 1928 r.

Autor: zakład fotograficzny W. Cyroto w Łomży (wg informacji Antoniego Cwołiny, wnuka Józefa Karwowskiego, którzy otrzymał zdjęcie od M. Iwanickiego w 1932 r.).

Nadawca: Tadeusz Chojnowski, Białystok.

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII

Odpowiedzi redakcji

M. D. Czestochowa. Wydaje się nam, że zamierzona oszczędność słowa zaczyna przynosić owoce. Zyczymy powodzenia. Za wyrazy uznania dziękujemy.

M. S. Zamość i M.B. Kraśnik Fabryczny. Musimy być otwarci. Takich wierszy pisać nie należy. Są kłopotliwa układanka nie nie znaczących słów.

E. L. Lublin. Dziwne: w wierszach „intelektualnych” daje się Pani ponieść emocji, natomiast jest odwrotnie w wierszu zamierzonym jako wyraz nastroju. Ale ten właśnie jest lepszy.

M. H. S. Lublin. Mamy wrażenie, że są to słowa rzucone na papier od niechęci. Małe „nieobowiązujące” akwarele. Takimi wierszami nie można zjednać czytelnika.

J. J. W. Wrocław. Niestety, w nadesłanych atoryzmach trudno jest dopatrzeć się celności i dowcipu.

J. W. Warszawa. Domaga się Pani obzeranych słów krytyki. Nie potrafimy tego życzenia spełnić. Co można powiedzieć o śpiewie kogoś, kto sobie zanudził coś pod nosem? Wiersze są bardzo niefrasobliwe, niestaranne, pobieżne. Nie zostawiają wrażenia. To wszystko.

A. P. Białystok. Ta proza jest tak pogmatwana, że właściwie nie wiemy o co chodzi. To nie opowiadanie. To notacja skojarzeń niecelowa i niekontrolowana. Wcale nie — jakby się zdawało — swobodne potraktowanie tematu, czy oryginalność stylistyczna. Czyta się z przaniem doznania do końca. A szkoda, bo wydaje się, że autor ze swych umiejętności operowania językiem mógłby zrobić lepszy użytek.

C. J. Lubartów. Tekst zawiera pewne zalety. Musimy jednak poczekać, bo świadczy o stadium przejściowym: zaczął się pozbywać obciążenia wypracowania szkolnego jeszcze się nie stał tworem literackim. Najność niektórych zwrotów — oto co jest do usunięcia już teraz.

W. P. Białka Podlaska. Druk najczęściej bywa sprawdzianem dla młodego autora, ale nieraz spełnia rolę szkodliwą. Mowa o druku za wczesnym. Utrwała mianowicie pewne manery, których się później trudno pozbyć. Dlatego umiemy się, że jeszcze trochę poczekamy. Lepszy wystartować od razu z czymś niewątpliwym.

Z. P. Lublin. Ma Pan rację. Komuś, kto napisany wierszem dał świadectwo całkowitego niezrozumienia spraw poezji nie można wykazać, że ten właśnie wiersz jest zły. Nie można też z kimś takim w ogóle nawiązać rozmowy o poezji. Przeszkodził temu brak wspólnej terminologii. Z kolei nie ma takich referencji, które by potwierdziły czyjaś w tych sprawach kompetencje. Do przeświadczeń poetyckich można dojść jedynie samemu. Nie można ich przyjąć na zasadzie „dowodu” przedstawionego przez kogoś, do kogo się z braku własnej orientacji „z zaufaniem” zwracamy.

Z. M. Poniatowa. Może by się Pani zainteresowała twórczością dla dzieci? Jest to szkoła dobrego rzemiosła. A i obfituje w szereg pierwszoplanowych nazwisk: Tuwim, Gałczyński, Czechowicz, by tuż nie wspomnieć o Brzechwie. Przyznajmy, że próby zostałyby uwiecznione pomysłowym rezultatem choćby w postaci nabytku pewnych językowych doświadczeń. Zachęcam.

Z. G. Hrubieszów. Opowiadanie może zawierać realia całkiem autentyczne, ale nie na tym polega wartość utworu. Nawet wynika stąd pewne niebezpieczeństwo: utwór będzie wierny rzeczywistości, natomiast nie będzie wiary literacko. Nie zawrze próby powiedzenia prawdy o człowieku nie wykaże koniecznej w literaturze typowości, reprezentatywności opisanych scen i postaci. Darujemy sobie powierzchowną wiarę w szerszość. Nie ona świadczy o wnikliwej obserwacji.

W. L. Chelm Lubelski. Szerokość w wierszu nie jest konieczna. Autor nie musi pisać o swoich doznaniach. Nie musi się spowiadać z zawiedzioną miłością, z rozpaczą, z chwil wrotów i szlachetnych postanowień. Niech to wszystko będzie skłamanie w swym wymiarze żywym. Niech tylko będzie prawdziwe w wymiarze artystycznym. Ale oczywiście jest to postulat raczej teoretyczny. Bo nie może być prawdziwej poezji bez prawdziwego przeżycia. Tylko jedno: prawdziwe przeżycie to warunek w poezji daleko nie wystarczający. Nie ufamy w automatycznie działające wzruszenia. Nie zaniedbujemy rzemieślniczej roboty, ona też składa się na wiersz.

M. K. Białystok. Utwór typu science-fiction oprócz fantazji naukowej musi zawierać, jak każdy utwór literacki, prawdę o człowieku. O tym człowieku, który jest nam znany z doświadczenia „normalnego”, jeszcze nie obiektywnie mowa techniki. Powieści o robotach nie są w stanie zainteresować. Powieści-wizje futurologiczne bez nieszczęść w nich obecnych pozostała co najwyżej poplsem erudycji. Radzimy zrezygnować z „techniczności” odchyleć w Pa- na twórczość na fantastyczne tematy.

H. F. Stalowa Wola. Jest w tych wierszach dużo wyobraźni, jednakże nie zawsze na usługach zamierzonej wymowy. Swoboda, która przetrwała w rozmiarze „skrajnym” — to też czynność pisarska. Radzimy pod tym kątem dokonać lektury przesłanego materiału.

Szyfrogram literacki (nr 5)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przedstawić do diagramu litery na miejsce odpowiadających im liczb i odczytać rozwiązanie — fragment wiersza poety polskiego, którego pierwszą literę imienia i nazwisko utworzą pierwsze litery początkowych sześciu wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne pola w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze:

- 116, 20, 117, 24, 9, 95, 119 — rzeka syberyjska.
- 13, 25, 22, 70, 105 — zawartość
- 54, 62, 41, 10, 123, 18 — łączy konia z pojazdem.
- 8, 1, 110, 23, 15, 194, 5 — niezależność, swoboda.
- 7, 123, 72, 60, 124, 4 — żywy organizm.
- 89, 46, 69, 2, 72, 120, 71 — wczesne lata życia.
- 14, 53, 64, 11, 26, 28, 92 — przełęcz między Doliną Pieciu Stawów i Doliną Waksmundzka.
- 6, 20, 16, 78, 59, 122, 35 — roślina na sałatkę i dodatek do kawy.
- 42, 29, 12, 68, 79, 132 — przepływa przez Rzeszów.
- 3, 32, 81, 93, 44, 67, 88, 21 — grecki Bacheus.
- 19, 98, 57, 84, 39, 31, 83, 34 — gazeta codzienna.
- 74, 63, 38, 90, 94, 25, 17, 37 — wyspa w Ameryce Południowej tworząca jedno państwo z Tobago.
- 83, 52, 114, 97, 103, 80, 48, 118 — samowładzowiec samochod ciężarowy.
- 106, 75, 27, 130, 99, 60 — łączy się z Eufratem.
- 85, 101, 109, 56, 127, 50 — złotocielony mały ptak polskich lasów.
- 43, 26, 102, 107, 87, 91 — powieść Wl. Reymonta.
- 108, 112, 96, 43, 126 — żółtawy szlachetny kamień.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14		
15		16	17	18	19	20		21	22	23		24	25	26	
27	28	29	30	31	32	33		34	35	36	37	38		39	
40	41	42		43	44	45	46	47		48	49	50	51	52	
53	54	55	56		57		58	59	60	61		62	63	64	
65	66	67	68	69	70	71		72	73		74	75	76	77	78
	79		80	81	82	83	84		85	86	87	88	89	90	91
92	93	94	95			96	97	98	99	100	101	102	103	104	105
	106	107		108	109	110	111	112		113	114	115	116		117
118	119	120	121	122	123	124	125	126	127		128	129	130	131	132

- 129, 121, 115, 51 — unik bokserki.
- 128, 33, 86, 40, 78, 65 — dramat St. Wyspiańskiego.
- 61, 131, 77, 100 — paliwo dla hut.
- 11, 47, 82, 49, 113 — kaftan, płaszcz.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

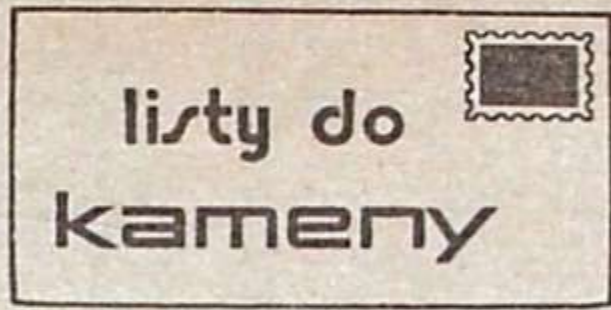
Rozwiązanie krzyżówki z nr 2

Pozłomo: Zegadłowicz, Strug, pogrom, kompas, Zuromin, Sabala, Orłowo, kwiat, niuans, Myszków, surma, emalia, kajaki, u-

branie, insekt, rojada, zwiad, Makuszyński.

Pionowo: epoka, Adria, Lomża, Węgrów, chemia, reprodukcja, Gasiorowski, okno, Sienkiewicz, Bogusławski, Luźniki, rozsada, kleks, imbir, Tamka, Utrata, Manitu, auto, Kercz, jelen, Kudak.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 2 cztery bony książkowe do 40 zł każdy, wylosowali: Bohdan Biełkowski, 28-323 Lublin, ul. Droga Meczenników Majdanka 13 m. 1; Krystyna Kozul, 58-500 Jelenia Góra, ul. Swierzewskiego 1; Ewa Sadłowska, 28-424 Lublin, ul. Czeska 3 m. 3; Irena Sasadeusz, 22-600 Tomaszów Lub. ul. 1-go Maja 91.



RAZ NA CAŁE ŻYCIE

Od szeregu lat dorabiam do swojej urzędniczej pensji korepetycjami. Ostatnio przygotowuję maturzystę do egzaminów wstępnych na wyższe studia. Uczeń mój ukończył licum ogólnokształcące z wynikiem dobrym. Od tego czasu upłynęły już dwa lata, więc wiele z tych nauk „ma już z głowy”. Zaczęliśmy zatem szkołę średnią od nowa. Z zapalem pokazuje metody rozwiązywania kolejnych układów równań, bo przypomina mi to lata mojej nauki.

Nie korzystalem wtedy z książek na maturze, aby sprawdzić trójmian kwadratowy do postaci kanonicznej. Nie zaglądałem również do encyklopedii, aby odpowiedzieć, że pangenaza to błędna hipoteza Darwina dotycząca dziedzielnicy. Nie oglądałem „Wesela” Hanuszkiewicza, aby udzielić Czepcowi, że route się do czegoś wzięcie, niż tylko do bitew po wodce. Tego wszystkiego nauczyłem się ze starych postrzępionych skryptów, bez korepetytora, w małej, dusznej salce konspiracyjnej szkółki. Nauczyłem się na całe życie, nie tylko na egzamin maturalny.

Stanisław Wiktor
Lass-Sterlus
Kodeniec

I SZEWCY PISZA WIERSZE

Sporo czasu wolnego poświęcam oglądaniu telewizji. Czasem mnie coś zainteresuje kiedy indziej zdenerwuje np.: program niedopracowany, albo gdy lektor się jaka, lub, co gorsza, sami autorzy pogadank uczonych, specjalistycznych, w taki sposób

myśli swoje ubierają w słowa, jakby byli zamoukami ojczywego języka. Niedawno miałem satysfakcję: mowa polska płynęła z ust paru rozmówców, jak najsprawniejszy potok wartki wynurzeń ciekawych, a prelegenci głosili rzeczy swoje bez niepotrzebnych zawłości.

Przedmiotem dyskusji był odwieczny temat: co ma do spełnienia w narodowej kulturze i bycie fizycznym obywateli poezja i jakie względem niej mają obowiązki twórcy? Nie zaliczałem się jako nigdy do zainteresowanych bliżej tym, co ma do powiedzenia jako poeta Ernest Bryll. Ale tamtego wieczoru byłem po prostu urzeczony jego osobowością, intelektualną zawartością jego sadu. Z wstępu wypowiedzi przypadło mi do gustu to zdanie Brylla, w którym stwierdził, że nie ma właściwie takiej literatury i sztuki, która byłaby przeznaczona tylko dla wąskiego, elitarnego kręgu odbiorców... Poezja, podobnie jak ciekawy obraz plastyczny, przemawia do wyobraźni zarówno ludzi wykształconych, jak i może zainteresować ludzi prostych, niewykształconych. Pod tym jednakże warunkiem, że będą to ludzie wrażliwi na piękno!

Chciałem jeszcze dodać, że znam uczonego, który zupełnie nie interesował się teatrem, a mieszkam w pobliżu szewca, który plusie wiersze i sam komponuje do nich muzykę!

Stefan Czejkowski
Przemyśl

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

Z wielką radością przeczytałem w „Kamieniu” o propozycji otwarcia Klubu Starej Fotografii. Ciesze się tym bardziej, bo przecież nie przypadkowo i Sympozjum Historii Fotografii Polskiej odbyło się przed kilku laty właśnie w Lublinie. Mam jednakże pewne zastrzeżenia dotyczące informacji wstępnej.

Ważniejsza wydaje się być nota biograficzna autora zdjęcia a także charakterystyki epoki i warunków estetycznego kształtowania modelu, niż biografia posiadacza zdjęcia.

Wysyłanie oryginałów do redakcji jest to wcale nieprzypadkowe nie do przyjęcia z uwagi na wartość zdjęć i obawę uszkodzeń. Natomiast można wykonać negatywy lub fotokopie wg. wymaganych warunków. Tu

pytanie: jakim warunkom powinny odpowiadać (skala itp.)?

Wydanie almanachu wydaje mi się nie-realne.

Brak myśli przewodniej Klubu. Uważam, że pomocny może okazać się artykuł przewodni o historii fotografii polskiej, napisany przez znawcę przedmiotu.

Rość starych fotografii, jakie posiadamy, pozwoliłaby na wypełnienie rubryki w „Kamieniu” przez kilka lat — Kalendarz mają podobne zbiory. Prosimy o bliższe szczegóły dotyczące tematyki zdjęć, jaka taś interesuje (portret, sceny rodzajowe, myśliwskie, stroje, wnętrza domów, architektura itp.), okres w jakim powstały, autorzy czy miejsce ich wykonywania. Np. kolekcja dotycząca starych Pulaw czy Kazimierza jest dość pokaźna. Selekcja materiału będzie bardzo trudna i myślę, że bez pomocy znawców przedmiotu trudno będzie uporządkować i wprowadzić ład w nadsyłanych fotografiach. W „Kamieniu” powinien być zamieszczane najciekawsze i najwartościowsze zdjęcia.

Gratuluję podjęcia pasjonującego tematu i jestem przekonany, że apel redakcji spotka się z uznaniem czytelników, a całość przyczyni się do spopularyzowania zainteresowania i szacunku dla starej fotografii. Być może z pożytkiem dla Historii Fotografii Polskiej.

Tomasz Borkowski
Puławy

OD REDAKCJI: Dziękujemy za interesujące uwagi; niektóre wykorzystamy w działalności Klubu. Ponadto informujemy, że reflektujemy przede wszystkim na oryginalny zdjęć. Jeśli jednak ktoś obawia się, że mogą one zostać uszkodzone, choćby w trakcie przesyłki fotokopie, prosimy o negatywy czw fotokopie — o formacie zbliżonym do „pocztówkowego”. Tymczasem nie precyzujemy tematyki zdjęć. Oczekujemy na fotografie obrazujące charakterystyczne wydarzenia, budowle, sceny obyczajowe oraz specyficzna moda danej epoki, a raczej okresu. Po pewnym czasie rzecz jasna, zwrócimy się o bliższe współpracę do znawców przedmiotu — naszych korespondentów. Wspólnie ustalimy precyzyjniejsze zasady działania Klubu Starej Fotografii. W wypadku posiadania obszernej dokumentacji fotograficznej jednego miejsca czy faktu, prosimy o nadsyłanie najbardziej reprezentatywnych egzemplarzy zdjęć.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunta Mańkowski, Zygmunta Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński Ireneusz J Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 18 zł półrocznie 9 zł kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeraty w kraju dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeraty wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatów RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatów zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerata za granicą przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 80-340 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piatki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 480. 20.II.75. E-4

Numer lamali: Wiktor Muda i Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Nr indeksu 34400/36231

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-03, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

tempora!

JAK to dawniej bywało! Przeglądając stare numery „Sztandaru Ludu” z marca 1945 roku (czyli z okazji 30-lecia tego zastużonego dla Lubelszczyzny dziennika, ale o tym za dwa tygodnie), natrafiłem na artykuł wstępny (nr 4 z 16 marca) pt. „Usunąć braki w sprawozdaniu”. Autor artykułu stwierdzał, że żywność i szereg innych artykułów zalega magazyny, a nie trafia do sklepów. Zwrócił na tym spekulanci. Ale nie to było najważniejsze. Uderzyły mnie słowa, które zacytuję w całości: „Dziwić musi „filozoficzny” spokój, z jakim traktują te sprawy ci, którzy najbardziej są odpowiedzialni za taki stan rzeczy, to jest naczelnik Miejskiego Urzędu Aprobacji, ob. Piłak, i dyrektor Lubelskiego Oddziału Związku Spółdzielni „Soołem”, ob. P. Nowicki. Trzeba narazie doprowadzić do świadomości tych obywateli, rozstrząsać wygodnie w swych dyrektorciach, że stanowisko, jakie zajmują, daje nie tylko przywilej, lecz nakłada też na nich twarde obowiązki wobec ludności miasta, która poprzez swych przedstawicieli powierzyła im tak odpowiedzialną pracę... I dalej: „Niechaj nie sądzi, że potrafią się uchować przed gniewem pracujących wykrętnymi tłumaczeniami!”

Pomnącymy styl, niektóre wyrażenia przyjmuję się dzisiaj nie bez dawnego uśmiechu. Nie mniej symptomatycznie uderza to, że krytyka była bardzo konkretna, wymieniała nazwiska ludzi, którzy — zdaniem pisma — zawiniли.

Dzisiaj czasy się zmieniły. Kiedy dzienniki lubelskie zwracały uwagę na takie czy inne niedociągnięcia, skrzętnie unikają personifikacji. Oto tytuł czołowej miejskiej strony „Kurier Lubelski” z 24 lutego: „Zawiodło sobotnie zaopatrzenie. Mieczarnia nie dowiozła. Handel nie zamkowił”.

Z informacji wynika, że w osiedlu

przy ul. Łódzkiej w Lublinie o godz. 11 nie było w SAM-ie ani dekadra, ani sera, ani mleka czy kefiru. Ekspedientki wyjaśniały: — Mieczarnia nie dowiozła. W sklepie samoobsługowym przy ul. Hryniewieckiej w osiedlu Piastowskim tłum ludzi oczekiwał na przywiezienie chleba. Samochód z pieczywem pojawił się na krótko przed godz. 12, czyli przed zamknięciem sklepu (była to sobota wolna od pracy). Autor informacji (rz) stwierdza, że „moglibyśmy cytować więcej przykładów złego zaopatrzenia i to zarówno w śródmieściu, jak i w wielu innych dzielnicach. Dochodziło do tego, że mleko kupowało się po znajomości, spod lady”.

Za tę zwykłą grandę zdaniem D. (rz) odpowiada mieczarnia i handel. Z równym powodzeniem można by napisać Pan Bóg.

Lektura „Sztandaru Ludu” z 1945 r. jest bardzo pouczająca. Po trzydziestu latach wiemy, kto w ówczesnym kierował sprawami w mieście. W 2005 roku nazwiska dziesięciu dyrektorów, prezesów, kierowników pozostaną anonimowe!

MAJ

Pośmiejmy się z mężczyzną



— Na szczęście to tylko jeden dzień w roku

Rys. A. Stok

minuta myślenia

Kosmos jako hobby

CZŁOWIĘKĘ popularności wśród książek świata zajmują obecnie dzieła Ericha von Dänikena „Wspomnienia z przyszłości”. Osobliwością jest, że ten traktat o obecności na Ziemi przybyszów z kosmosu napisał ktoś, kto z wykształcenia jest hotelarzem. Czyżby nadchodziła era nonprofesjonalizmu? Pamiętamy, że inną rewelację, mianowicie na temat pochodzenia człowieka, wniosła pani Morgan, nauczycielka.

dzy którymi komunikacji być nie mogło? Są to pytania rzeczywiście wychodzące poza obszar dotychczasowego zastanowienia się na temat przeszłości człowieka i hipoteza o pradawnej obecności istot myślących na naszej planecie wydaje się jeszcze najmniej fantastyczna. Owszem, mogą ją odrzucić jako „mrzonkę” i nawet — przynajmniej — ten odrzut mi odpowiada, ponieważ hipoteza destrukcyjnie wytworzony we mnie obraz świata, przekracza moją umysłową barierę immunologiczną, ale co na to miejsce wstawię? Coś, co będzie jeszcze bardziej fantastyczne?

A czy potrzeba aż wizyty naszych kosmicznych sąsiadów, by dziwne zjawisko wytłumaczyć dziwną teorią? Jako całkiem naturalna nasuwa się inna dziwność: mianowicie, że nasi przodkowie posiadali tajemnicze energie atomowej, izotopów promieniotwórczych i lasera, ale w jakiś sposób wyginęli i ewolucja zaczęła się od punktu zero. Ze cywilizacja na Ziemi przechodziła przez cykliczne stadia i nasze obecne jest z kolei którymś odpowiadającym tamtemu. Dlaczego przyjmując ingerencję istot spoza Ziemi mam z ulgą odetchnąć „nareszcie wszystko stało się jasne”, natomiast nie jasne, czy nie do przyjęcia jest, że przed troglodytami istniał człowiek dysponujący wiedzą w dzisiejszym jej a może jeszcze wyższym stopniu? Mój patriotyzm planetarny do drugiego rozwiązania nawet mnie zobowiązuje.

Wszelako przyznać trzeba, że rozprawa Dänikena nie tylko intryguje śmiałością wysuniętej hipotezy, ale również zastanawia mnogością przytoczonych na jej korzyść zagadek. Bo jeśli nawet na uboczu zostawimy kwestię Sodomy i Gomory wraz ze zmianami w słup soli zoną Lota jako przekaz ewentualnie nie wolny od przenośni poetyckich, w które obfituje Biblia, to przecież pozostaje wiele niewyjaśnionych zjawisk do dziś pozostających w obrębie naszego doświadczenia. Co zrobić np. z przeszło setką prawie dwudziestometrowych posągów na Wyspie Wielkonoconej, odległej od stałego lądu o 3500 km, a nie posiadającej nigdy ponad 1000 mieszkańców? Co — z piramidami? Jedną z nich (Ci zopsa) składa się z 2 600 000 kamiennych bloków, ważących po 12 ton. Jeśli przyjąć, że dziennie kładziono takich bloków 40, stwierdzimy, że piramidę budowano przez 178 lat. A 40 bloków przy ówczesnej technice transportu i montażu to liczba chyba astronomiczna. Dalej: dlaczego tyle rysunków skalnych przedstawia postać zbliżoną do dzisiejszego kosmonauty i dlaczego ten motyw powtarza się w różnych punktach kuli ziemskiej, między

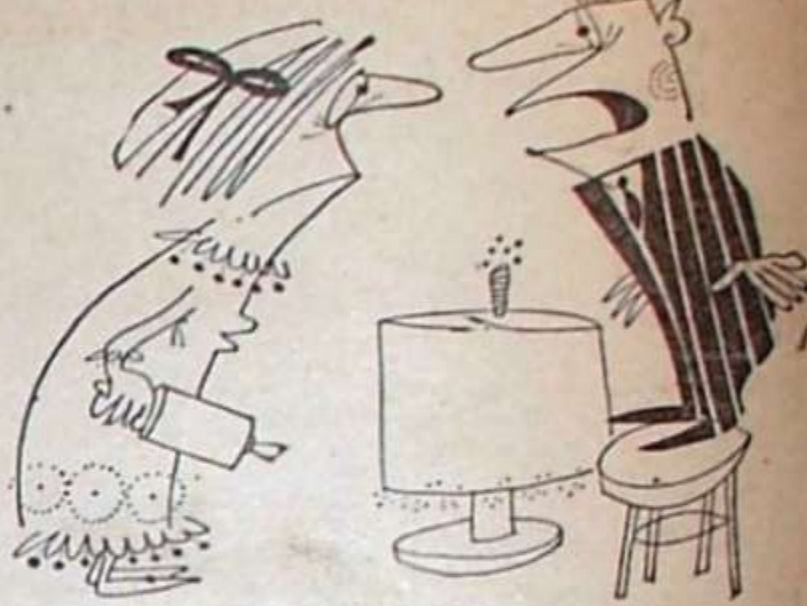
Jednakże przyznać trzeba, że pasja Ericha von Dänikena — zmusić do zastanowienia, udowodnić, witać w opinii naukowców przekonanie o lotach kosmicznych sprzed setek tysięcy lat — do niczego nie prowadzi. Do wyjaśnienia? Wolne żarty. Cóż mi przyjdzie z westchnienia ulgi z powodu rozwiązania zagadki np. kalendarza Majów? Zgoda, byli tacy panowie z zaświatów, którzy naszych przodków przyuczili do posługiwania się skomplikowanymi obliczeniami, do których to obliczeń ci przodkowie ówczesnego stanu kultury dojść nie mogli. Ale jaki mus ich na naszą planetę wysłał? Jak mieli interes w ulepszeniu gatunku ludzkiego? Dlaczego się tak długo gzebali z naprawą zepsutego statku? Co się w końcu z nimi stało? Oto woreczek pytań rozwiązujący się automatycznie z chwilą dania kosmonautycznej odpowiedzi na pytania poprzednie.

To samo z poszukiwaniem życia na innych planetach. Przypuszczając, że na żadnej z innych nie ma dokładnej repliki warunków ziemskich, goździmy się na to życie poza wodą, poza tlenem, poza błękitem, poza zdolną do rozwoju komórką. Ustalmy więc co za życie przyjmujemy. Zdolność do samodzielnego ruchu? Rusza się powietrze, a tego za żywe nie uważamy. Celowość, precyzja działania? Nie ma kamienia, który by spadł inaczej niż w idealnej zgodzie z prawem grawitacji. I już następny krok to poszukiwanie definicji istoty myślącej, definicji oczywiście w skali kosmicznej. Co jest takiej istoty wyróżnikiem? Powodowanie „nieprzewidywalnych” to znaczy powtarzalnych zjawisk? W takim razie istota myśląca jest wymienione wyżej prawo ciążenia. Więc może to, co jest zdolne powieścić „Ja”? „Ja” jako rdzeń indywidualności jest dla innych osobników niepoznawalne, więc nie odróżnimy, jeśli będzie tylko odgłosem aparatu. Identyfikacja logiczna jest możliwa tylko w warunkach określonej logicznej ekosfery i kiedy ją przekraczamy, jak w powyższych pytaniach, nie możemy w odpowiedziach do niej wracać. Czyli — dalej niejasne.

Bywają też w książce Ericha von Dänikena wyjaśnienia zaskakujące. Acz — konsekwentnie w stosunku do założenia, by wytłumaczyć wszystko niezrozumiałą teorią lotów. Otoż w zapisach sumarycznych jest powiedziane m.in., że największych 10 władców tego państwa panowało w sumie tyle, że na jedną statystyczną koronę przypada... 40 000 lat. Däniken przykłada: właśnie! To wskazuje, że ci władcy nie siedzieli na miejscu, lecz poruszali się z szybkością zbliżoną do szybkości światła, a skoro poruszali się to byli kosmonautami. Wyjaśnienie jest do przyjęcia od strony króla. Ale od strony Sumerów? Jak stwierdził, a później zaświadczył, że jegośmiesz odwieczający tron jego państwa sporadycznie przez 40 000 lat jest wciąż tym samym jegośmieszem, skoro ów Sumerzyk z szybkością światła nie miał nic wspólnego i żywota dokonał raczej w normalnych rozmiarach człowieczych? A król z kolei więcej latał niż siedział!

Ala do książki Dänikena nie podchodzimy przecież jak do nowej ewangelii. Nie w daniu rozwiązania, lecz w postawieniu kwestii jej wartości. Napisana przez niefachowca interesuje niefachowców nie tracąc niczego z uporu i napięcia fachowych dociekań.

Ijon



— No, a teraz możemy porozmawiać jak równy z równym!

Rys. L. Szalecki



Rys. L. Szalecki

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

Akcja rozgrywa się w mieście wojewódzkim średniej wielkości. Autor i redakcja nie biorą odpowiedzialności za to, jeśli ktokolwiek utoczył sobie to miasto z Lublinem.

(2)

— Telefon był anonimowy. Męski głos najprzejmiej poinformował mnie, że spotykasz się z jakąś młodą dziewczyną.

— I co ty na to?

— Nic. Odroczyłam słuchawkę, ale przedtem oświadczyłam rozmówcy, że wtem o tym doskonale.

— Nasze miasto — Michał starał się zyskać na czasie — jest bardzo plotkarskie. Ja też otrzymuję anonimowy... — Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

— Nie widzę, żeby to było interesujące. A jeśli chodzi o mnie, to muszę od czasu do czasu z tym czy tamtym się spotkać. Zawód tego wymaga.

— Raczej z tą czy tamtą. Nie musisz jednak aż szwendać się po mieście. Masz klub „Dziura”...

— O taki Klub „Dziura” to wymarzone miejsce do tamtych spotkań! Obowiązuje cię dokumentnie.

— Dobrze już, dobrze. Ja wiem swoje, a ty stooje... Intymnych spotkań! Sam się wydateś!

Michał nie mógł usnąć. Przez dłuższy czas przeteracał się z boku na bok. W końcu wstał, przeszedł do drugiego pokoju i usiadł przy maszynie. Kilkakrotnie włożył papier, wystukował po kilka zdań, ale nie mu nie wychodziło.

Rano obudził się z potwornym bólem głowy. Na skraju łóżka siedziała jego siostrzolenka Madzia.

— Tatusiu — szczebiotła — co kupimy mamie na święto kobiet?

— A skąd ty wiesz, że będzie święto kobiet?

— Mamusia mówiła: „Ciekawe, co nam tatusi przyniesie na święto kobiet. Kiedy był Mikołaj, zupełnie o nas zapomniał!”

— I co jeszcze?

— Więcej już nie. Ale ja bym chciała misia. Bardzo bym go kochała. Mój stary miś jest brudny i brzydki.

— Dlatego go nie kochasz?

— Kocham. Starego misia kocham, ale młodego kochałabym jeszcze bardziej. Mama mówi, że młodych zawsze bardziej się kocha niż starych.

— To nieprawda.

— Wiem, że nieprawda. Ty jesteś stary, ale ja ciebie kocham.

— Ja jestem stary?

— Tak, bo masz już siwe włosy.

— Kilka. Mogę je zaraz wyrwać. Chcesz?

— Tak, tak, chcę — dziecko zaczęło kiaskać.

Michał podszedł do lustra. Wydało mu się, że tych starych włosów ostatnio mu nieco przybyło. Zwykle nie zwracał na to uwagi, ale teraz, po słowach córki, przyjrzał się sobie dokładnie. No tak: czterdziestka na karku, warto by się zacząć szanować, rzucić palenie, regularnie jadać. Niby proste, ale jakie skomplikowane!

— Madziu, ubieraj się szybciej — usłyszał głos żony.

— Spóźnisz się do szkoły! — Stanęła w drzwiach już niemal gotowa do wyjścia.

— Nie masz prozku od bólu głowy? — zapytał.

— Wiesz, że nigdy nie są mi one potrzebne. O której masz zamiar dzisiaj wrócić do domu?

— Jak zwykle. Wieczorem.

— Znów narada, czy towarzyskie spotkanie? Zresztą to na jedno wychodzi.

Zadzwonił dzwonek. Sasiadka pytała:

— Pani Halno, czy ktoś będzie u państwa w domu? Miał przyjechać rano ojciec i przywieźć mi mięso. Widzi pani. Zabił świniak. My już musimy iść do pracy, a jego jeszcze nie ma. Zostawiłabym kartkę do drzwiach...

— Ja już wychodzę, ale może Michał... Słuchaj — zwróciła się do męża — o której musisz wyjść?

— Jeszcze będę w domu przez godzinę.

— No to fajnie. Zaraz ojciec powinien się zjawić. Dziekuje serdecznie!

Gdy zostali sami, Halna powiedziała:

— Tym Witczakom to dobrze. Wszystko im ze wsi przywożą. Jesienią z całymi dniami znosili kartofle, marchew, pietruszkę, kapusie, byles u nich w piwnicy?

— Daj mi spokój. Co mnie to obchodzi?

— No pewnie. Ty nie stoisz z koleżkami. Wszystko na mojej głowie. Chodź, Madzia, idziemy. O Boże, kiedy ty się nauczysz porządku własnego kokarda?

Przekreśliła klucz w zamku i zbiegła z córką po schodach.

Ojciec sasiadki jednak zawiódł, chociaż Michał przedłużył o pół godziny zaplanowany termin wyjścia. Specjalnie nie spieszył się do redakcji: kilka jego artykułów leżało w teczce u naczelnego i oczekiwało na najwyższą

akceptację. Tematy były kontrowersyjne, dotyczyły spraw drażliwych, kilka osób piastujących w mieście dość eksponowane stanowiska mogłoby się poczuć dotkniętym. Sekretarz redakcji nie chciał ryzykować. Zastępca naczelnego też zwlekał z decyzją, wolał zrzekać na powrót szefera z urlopu.

Michał był już na klatce schodowej, kiedy usłyszał dzwonek telefonu. Zdał się wrócić i chwycił za słuchawkę. Usłyszał głos Mirki.

— Słuchaj — powiedziała — ktoś robi głupie kawały. Mama odebrała wieczoraj telefon. Poinformowano ją... — Co to znaczy: poinformowano?

— Jakiś facet poinformował. Ale z ciebie purysta! No więc ten facet poinformował ją, że jej córka, niby ja, spotyka się ze starszym, żonatym mężczyzną. Miałam małą drakę, ale w końcu obróciłam wszystko w żart. Nie wiesz, kto robi takie kawały?

— Niby skąd? Ale i moja żona miała telefon podobnej treści. Rozejrzyj się wśród swoich znajomych.

— A ty wśród swoich. Oczywiście żartuję. Kiedy się ujrzą moje oczy?

— Zdziwnymy się. Wiesz, jak jest.

— Wiem, wiem. Ze też właśnie ciebie musiałam pokochać. Tyś wotnych mężczyzn chodzisz po świecie... — Szukaj dalej. Miłoście sama się zjawia i sama ulata.

— Nie ulata, tylko po prostu usycha, jeśli się jej starannie nie pielęgnuje. Nie będę ci przeszkadzać. Do zobaczenia.

W drodze na przystanek trolejbusowy Michał zastanawiał się gorączkowo. Jeśli wieczoraj, kiedy żona powiedziała mu o anonimowym telefonie, mógł mieć pewne wątpliwości, to dziś, po rozmowie z Mirką, zrobiła się to nim pewność, że ktoś stara się mu podłożyć świnię. Ale kto i dlaczego?

Nim nadszedł trolejbus, wziął z kiosku kilka tygodników.

— A losów pan nie kupił? Nowa loteria, dochód przeznaczony na Centrum Zdrowia Dziecka. Nie ma tu przegranych — agitował kioskarz. — Najlepszy prezent na święto kobiet. Kupi pan kwiatek, zapłaci dwadzieścia złotych i po kilku dniach nie nie ma. To znaczy forsa ma badylarz. A tu za 10 złotych może pan wygrać samochód, telewizor, fraterkę. Co płatny los pełny.

— Panie, pan się marnuje u tym kiosku! Ja bym pana do domu towarzysowym zatrudnił. Zastąpiłby pan pięć śpiących panenek.

— Przed swojąną do handlu pracowałem. Teraz to i zdrowia nie ma. Gdyby jeszcze bardziej atrakcyjny towar dostawali! Na samych gazetach daleko bym nie ujechał. Ile pan losów bierze?

— Cztery.

— Proszę bardzo. Panie, ale niech pan nie przedziera, to ma być zamiast kwiatka dla Ewy!

(cda)